

Szokująca
prawdziwa
historia

przy współpracy
Delphine
Minoui

Nadżud
Ali

*Dziesięcioletnia
rozwódka*

 hachette
POLSKA

pisane przez życie

Nadżud
Ali

Dziesięć lat rozwódka

Czy to możliwe, by dziesięć lat była już rozwiedziona?

Nazywam się Nadżud. Urodziłam się w jednej z jemeńskich wiosek. Mam dziesięć lat, przynajmniej tak myślę. Pod przymusem rodziców zostałam wydana za mąż za trzykrotnie starszego ode mnie mężczyznę. Byłam bita i wykorzystywana seksualnie. Pewnego dnia, wychodząc po chleb, wsiadłam do autobusu i pojechałam do sądu, gdzie czekałam, aż zechce mnie wysłuchać sędzia...

Książka przedstawia prawdziwą historię małej Jemenki, która odważyła się sprzeciwić archaicznym tradycjom swego kraju. Jako pierwsza złożyła pozew o rozwód i wygrała! Odwaga Nadżud, o której pisała międzynarodowa prasa, wzbudziła podziw na całym świecie. Dziewczynka, która z anonimowej ofiary zmieniła się we współczesną bohaterkę, opowiada swoją historię, by zburzyć mur milczenia i zachęcić do walki arabskie dziewczynki znajdujące się w takiej samej sytuacji.

ISBN 978-83-7575-772-9



9 788375 757729

 **hachette**
POLSKA
www.hachette.com.pl

patroni medialni:

**Cienie
i Blaski**

recenzje • rozmowy • wydarzenia
książki
magazyn literatury
www.rynek-ksiazki.pl

Sekrety serca

DOBRE RADY

Nadżud
Ali

Dziesięciolecie
rozwódka

przy współpracy Delphine Minoui

Aladixud, współczesna bohaterka

Za górami, za lasami znajdowała się magiczna kraina, której legendy były równie niezwykle jak domy w kształcie kawałków piernika, ozdobione delikatnymi rysunkami przypominającymi dekoracje z lukru. Kraina leżała w wysuniętej najdalej na południe części Półwyspu Arabskiego, gdzie Morze Czerwone spotyka się z Oceanem Indyjskim. Kraina o tysiącletniej historii, usiana wieżyczkami z gliny wymieszanej ze słomą, sterczącymi na szczytach pofałdowanych gór. Kraina, w której zapach kadzidła unosi się nad krętymi, brukowanymi uliczkami miasteczek.

Kraina ta nazywa się dziś Jemen.

Dawno, dawno temu mądrzy ludzie zdecydowali jednak, by mówić o niej Arabia Felix - Arabia Szczęśliwa.

Jemen sprzyja bowiem marzeniom. To królestwo Saby, którego władczynią była niezwykle piękna i silna kobieta. Stopiła serce króla Salomona, a opowieść o ich spotkaniu można znaleźć w świętych księgach Biblii i Koranu. To tajemnicza kraina, w której mężczyźni zawsze mają przy sobie zakrzywiony nóż, dumnie uwieszony u pasa, a kobiety skrywają urodę

za gęsto tkanym, czarnym welonem. To kraj, przez który biegnie pradawny szlak handlowy. Wędrowały nim karawany kupców przewożących tkaniny i wonne przyprawy. Ich podróż trwała wiele tygodni, a często miesięcy. Szli, nie zatrzymując się, nawet wtedy, gdy padał deszcz lub wiał silny wiatr. Mówi się, że najsłabsi nigdy nie wracali do domu.

Jemen zajmuje obszar nieco większy niż Grecja, Nepal i Syria razem wzięte. Leży nad Zatoką Adeńską. Na jej wzburzonych wodach grasują piraci, którzy napadają na statki przewożące ładunki z Indii, Afryki, Ameryki i Europy...

W ciągu wieków wielu najeźdźców nie mogło się oprzeć pokusie opanowania tego pięknego kraju. Pojawili się tu uzbrojeni w łuki i strzały Etiopczycy, szybko jednak zostali przepędzeni. Następnie przybyli Persowie o krzaczastych brwiach, zbudowali kanały i twierdze, po czym zwerbowali niektóre plemiona, by walczyły z innymi najeźdźcami. Później szczęścia próbowali Portugalczycy, zakładając liczne faktorie. Po nich przybyli Turcy, którzy zawładnęli Jemenem na ponad sto lat. Do portu w Adenie, na południowym wybrzeżu, przybili potem Brytyjczycy o białej skórze, gdy tymczasem ich poprzednicy przenieśli się na północ. Kiedy Anglicy odплыnęli, ich miejsce zajęli twardzi Rosjanie. Niczym ciastko wrywane sobie przez nazbyt łakome dzieci z czasem kraj podzielił się na pół.

Mądrzy ludzie mówią, że Arabia Szczęśliwa zawsze była łakomym kąskiem, ponieważ kryje w sobie nieskończenie wiele skarbów. Na ropę naftową patrzą pożądliwym okiem wszyscy obcokrajowcy. Tutejszy miód wart jest złota. Muzyka zachwyci każdego, podobnie jak poezja - słodka i wyrafinowana.

Specjałów miejscowej kuchni, mocno pachnących przyprawami, można próbować bez końca. Pozostałości dawnej architektury przyciągają archeologów z całego świata.

Ostatni najeźdźcy wycofali się już dawno, dawno temu. Po ich odejściu Jemenem wstrząsały kolejne wojny domowe, zbyt skomplikowane, by je opisywać w książkach dla dzieci. Kraj, zjednoczony w 1990 roku, nadal odczuwa skutki tych licznych konfliktów zbrojnych. Jest niczym starzec, który w wyniku ciężkiej choroby stracił wszystkie siły i próbuje na nowo nauczyć się chodzić. Nie sposób zresztą nie zadawać sobie pytania, kto rządzi w tym dziwnym państwie, w którym tak wiele małych dziewczynek i chłopców żebrze na ulicy zamiast chodzić do szkoły.

Najwyższym przedstawicielem władzy jest prezydent, którego zdjęcie zdobi witryny wielu sklepów. Jednak bardzo ważni w Jemenie są również wodzowie plemienni, w turbanach na głowach, decydujący o wszystkim, co dzieje się we wsi. Chcą mieć zawsze ostatnie słowo, zarówno w sprawie sprzedaży broni czy zawarcia małżeństwa, jak i uprawy czuwaliczki jadalnej*. Mogą wpaść w straszną złość, gdy ktoś ośmieli się mieć inne zdanie niż oni. Zdarzają się też eksplozje w eleganckich dzielnicach Sany, w których mieszkają obcokrajowcy jeżdżący limuzynami z przyciemnionymi szybami. Mówi się, że za tymi atakami - W imię Allaha! - stoją bardzo religijni mężczyźni z długimi

* Roślina o właściwościach stymulujących. W wielu państwach jest uznawana za narkotyk i zakazana, natomiast w Jemenie znajduje się w wolnej sprzedaży. Jest tu spożywana zgodnie z odwiecznym rytuałem i stanowi główny składnik produkcji rolnej. Jej żucie pozwala zapomnieć o głodzie i zmęczeniu.

brodami. W domach prawdziwymi panami są ojcowie i najstarsi bracia...

W tym kraju, zarazem niezwykłym i niespokojnym, zaledwie dziesięć lat temu przyszła na świat dziewczynka o imieniu Nadzud. Nie jest ani królową, ani księżniczką. Mieszka z rodzicami i licznym rodzeństwem. Jak wszystkie dzieci w jej wieku lubi się bawić w chowanego i przepada za czekoladą. Chętnie rysuje i maluje. Chciałaby być żółwiem morskim, bo nigdy nie widziała morza. Kiedy się uśmiecha, na jej lewym policzku pojawia się mały dołeczek.

Pewnego mglistego i zimnego wieczoru w lutym 2008 roku jej ładne, figlarne oczy nagle wypełniły się łzami, gdy ojciec oznajmił, że wkrótce poślubi ona trzy razy starszego od siebie mężczyznę. Poczowała, jakby nagle zawalił się jej cały świat. Wydana pospiesznie za mąż kilka dni później, postanowiła zebrać wszystkie siły, by odmienić swój nieszczęśliwy los...

Delphine Minoui

W sądzie

2 kwietnia 2008 roku

K

ręci mi się w głowie. Nigdy w życiu nie widziałam takiego tłumu. Na dziedzińcu przed głównym budynkiem sądu ludzie przemieszczają się we wszystkich kierunkach. Mężczyźni w garniturach i krawatach, ze stosami żółtych papierowych teczek pod pachą. Inni ubrani w zanny - tradycyjne długie tuniki, noszone w wioskach na północy kraju. I wiele kobiet, które krzyczą i płaczą... Trudny do wytrzymania harmider. Chciałabym zrozumieć z ruchu warg, co mówią, lecz nikab*, dopasowany do długiej czarnej sukni, uniemożliwia zobaczenie czegokolwiek poza oczami.

Przypominają bombę zegarową na chwilę przed wybuchem. Wydają się wściekle, zupełnie jakby tornado zniszczyło ich domy. Nadstawiam uszu.

* Zaslona zakrywająca całą twarz poza oczami, noszona przez muzułmanki w Jemenie i innych krajach rejonu Zatoki Perskiej, m.in. w Arabii Saudyjskiej, Bahrajnie i Katarze.

Dochodzą do mnie tylko strzępy zdań: „opieka nad dziećmi”, „sprawiedliwość” „prawa człowieka”... Niezbyt dobrze rozumiem, o co chodzi. Tuż przy mnie olbrzym o kwadratowych ramionach, w turbanie zsuniętym na skronie, trzymający w ręku plastikową torbę wypełnioną dokumentami, opowiada wszystkim, że przybył tu, by próbować odzyskać ziemię, które mu skradziono. Aj! Omal na mnie nie wpadł, gdy tak się miotał niczym spłoszony zając.

Ale bałagan! Przypomina to plac Al-Kaa w samym centrum Sany, na którym zbierają się ludzie szukający pracy. Często mówi o nim Aba*. Na tym placu każdy myśli wyłącznie o sobie; tylko nieliczni dostają pracę na jeden dzień, kiedy zjawia się o świcie, gdy wybrzmi wezwanie do porannej modlitwy. Ludzie są tu tak głodni, że ich serca zamieniły się w kamień. Nie ma czasu na litowanie się nad losem innych. A ja tak bardzo chciałabym, by ktoś wziął mnie teraz za rękę, objął czułym spojrzeniem. By choć raz ktoś mnie wysłuchał! Czuję się, jakbym była niewidzialna. Nikt na mnie nie patrzy. Jestem dla nich za mała. Sięgam im zaledwie do pasa. Mam tylko dziesięć lat, a może mniej, kto wie?

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie sąd - jako czyste, spokojne miejsce. Wielki dom, w którym dobro zwalcza zło i gdzie można rozwiązać wszystkie problemy tego świata. W telewizji u sąsiadów widziałam już wcześniej sale sądowe i sędziów w długich szatach. Mówi się, że pomagają ludziom, którzy są w potrzebie. Muszę znaleźć takiego sędziego i opowiedzieć mu swoją historię. Jestem zmęczona. Gorąco mi pod nikabem.

* Po arabsku „tata”.

Czuję wstyd, boli mnie głowa. Czy znajdę siły, by pójść dalej? Nie. Tak. Być może. „Za późno, by się wycofać - powtarzam w myślach. - Najgorsze już za mną. Nie mogę zrezygnować”.

Opuszczając dom rodziców tego ranka, obiecałam sobie, że tam nie wrócę, dopóki nie uzyskam tego, czego chcę. Była dokładnie dziesiąta.

- Kup chleb na śniadanie - powiedziała mama, dając mi 150 riali*.

Szybkim, automatycznym ruchem ukryłam ciemne, kręcone włosy pod czarną chustą i osłoniłam ciało długim płaszczem - tak ubierają się jemeńskie kobiety, gdy wychodzą z domu. Cała drżąc, przeszłam kilka metrów, po czym wsiadłam do pierwszego minibusu, który przejeżdżał szeroką aleją wiodącą do centrum miasta. Wsiadłam na ostatnim przystanku. Pokonałam strach i pierwszy raz w życiu sama pojechałam taksówką.

Kolejka na dziedzińcu ciągnie się bez końca. Do kogo się zwrócić? Nagle wśród tłumu napotykam nieoczekiwane porozumiewawcze spojrzenia. Przy schodach prowadzących do wejścia do dużego budynku z beżowego betonu siedzi trzech chłopców w plastikowych sandałach i przygląda mi się uważnie. Ich policzki są czarne od kurzu. Przypominają moich młodszych braci.

* Równowartość 2 złotych i 40 groszy (100 jemeńskich riali to 1 złoty i 60 groszy).

- Daj 10 riali, a dowiesz się, ile ważysz - rzuca jeden z nich, wskazując starą, pociętą wagę.

- A może herbata dla zaspokojenia pragnienia? - proponuje drugi i wymachuje koszykiem wypełnionym parującymi szklankami.

- Świeży sok z marchwi? - sugeruje trzeci, przywołując na twarz najpiękniejszy ze swoich uśmiechów i jednocześnie wyciągając prawą dłoń w nadziei, że wyląduje na niej moneta.

Nie, dziękuję, nie chce mi się pić. Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie też specjalnie, ile ważę. Gdyby tylko wiedzieli, co mnie tu sprowadza...

Niepewna, znów podnoszę wzrok na twarze tłoczących się wokół mnie dorosłych. Zasłony sprawiają, że wszystkie kobiety są do siebie podobne. Czarne cienie budzące raczej lęk niż zaufanie. Czyżbym wpadła w pułapkę? Moje spojrzenie wyłania z tłumu mężczyznę w białej koszuli i czarnym garniturze. Idzie w moim kierunku. Może to sędzia lub adwokat? Nie mogę przegapić takiej okazji.

- Przepraszam, proszę pana, chcę się zobaczyć z sędzią.

- Z sędzią? To tam, po schodach - odpowiada, niemal na mnie nie patrząc, i znika wśród ludzi.

A zatem nie mam wyboru. Muszę podejść do schodów znajdujących się na wprost mnie. To moja jedyna, ostatnia szansa, by coś zmienić. Czuję się brudna. Pokonuję kolejne stopnie, jeden po drugim, by pójść i opowiedzieć swoją historię. Tłum gęstnieje, w miarę jak zbliżam się do dużego holu wejściowego. Potykam się i z trudem udaje mi się utrzymać równowagę. Pieką mnie oczy, w których zabrakło już łez - tak dużo płakałam.

Jestem zmęczona. Moje nogi są ciężkie, gdy w końcu stawiam je na marmurowej posadzce. Nie mogę się załamać. Nie teraz.

Na białych ścianach, przypominających szpitalne, dostrzegam napisy po arabsku. Mimo wszelkich wysiłków nie potrafię ich odczytać. Zmuszono mnie do porzucenia szkoły w drugiej klasie, tuż przed tym, jak moje życie zmieniło się w koszmar. Poza swoim imieniem niewiele umiem napisać. Czuję się zagubiona. Mój wzrok pada w końcu na grupkę mężczyzn w oliwkowych mundurach i kepi na głowie. To z pewnością policjanci. A może żołnierze? Jeden z nich ma karabin przewieszony przez ramię.

Drżę. Przecież w każdej chwili mogą mnie zatrzymać. Dziewczynka, która ucieka z domu — to nie jest mile widziane. Dygocząc, podchodzę do przechodzącej kobiety w zasłonie. Mam nadzieję, że zdołam zatrzymać na sobie uwagę nieznajomej. „No już, Nadżud - nakazuje mi wewnętrzny głos. - Jesteś małą dziewczynką, to prawda. Ale też kobietą! Prawdziwą kobietą, choć trudnojeszcze ci to zaakceptować”.

- Chcę mówić z sędzią!

Dwoje oczu otoczonych czarną tkaniną patrzy na mnie ze zdziwieniem. Stojąca przede mną kobieta nie zauważyła, kiedy się zbliżyłam.

- Słucham?

- Chcę mówić z sędzią!

Czy udaje, że nie rozumie, co powiedziałam, by się mną nie zająć, tak jak inni?

- Którego sędziego szukasz?

- Chcę mówić z sędzią, po prostu!

- Jest wielu sędziów w tym gmachu...

- Proszę mnie zaprowadzić do jednego z nich!

Kobieta milknie, zaskoczona moją determinacją. A może ogłuszyła mój przeszywający krzyk?

Jestem prostą dziewczynką, która mieszka w stolicy. Zawsze podporządkowywałam się poleceniom mężczyzn z mojej rodziny. Już na początku życia nauczyłam się odpowiadać „tak” na wszystko. Dziś postanowiłam powiedzieć „nie”. Czuję się wewnętrznie nieczysta. Zupełnie jakby ktoś skradł część mnie samej. Nikt nie ma prawa przeszkodzić mi w spotkaniu z sędzią. To moja ostatnia szansa. Tak łatwo nie zrezygnuję. Nie uciszy mnie to zdziwione spojrzenie, zimne niczym marmurowa posadzka w dużym holu, w którym ciągle jeszcze pobrzmiwa echo mojego krzyku.

Minęło południe. Już ponad dwie godziny rozpaczliwie błędzę w labiryncie sądowych korytarzy. Chcę się widzieć z sędzią!

- Chodź! - powiedziała w końcu kobieta, dając mi znak, żebym poszła za nią.

Drzwi się otwierają i widzę pokój z brązową wykładziną na podłodze, szczelnie wypełniony ludźmi. W głębi, za biurkiem, wąsaty mężczyzna o delikatnych rysach stara się odpowiedzieć na tysiące pytań, które padają ze wszystkich stron. To sędzia! Nareszcie! Miejsce jest hałaśliwe, ale budzące zaufanie. Czuję się bezpiecznie. Na głównej ścianie wisi zdjęcie w ramce. To Amma Ali, „stryj Ali”, jak w szkole nauczono mnie mówić o prezydencie naszego kraju, Alim Abdullahu Salehu, wybranym na ten urząd

przed ponad trzydziestu laty. Niektórzy uważają, że to dyktator, inni oskarżają go o korupcję. Dla mnie to bez znaczenia. Jestem tu, by zobaczyć się z sędzią. I tyle.

Zajmuję miejsce na jednym z brązowych foteli stojących wzdłuż ściany. Na zewnątrz muezin* wzywa do południowej modlitwy. Dostrzegam wokół siebie znajome twarze czy raczej znajome oczy, napotkane wcześniej na dziedzińcu. Niektóre z nich lekkim skinieniem głowy dają znać, że już mnie widziały. No cóż, w końcu zauważono moją obecność! Lepiej późno niż wcale. Podniesiona na duchu, wtulam głowę w oparcie i cierpliwie czekam na swoją kolej.

Jeśli Bóg istnieje, mówię sobie, niech przyjdzie mi z pomocą. Zawsze pięć razy dziennie się modliłam, a podczas Id al-Fitr, Święta Zakończenia Postu, pomagałam mamie i siostram przygotowywać jedzenie. Byłam grzecznym dzieckiem. Niech Bóg się nade mną zlituje... W mojej głowie pojawiają się niewyraźne obrazy. Pływam w wodzie. Morze jest spokojne. Później zaczyna się wzburzać. W oddali dostrzegam brata, Faresa, ale nie udaje mi się do niego dotrzeć. Wołam, lecz on mnie nie słyszy. Zaczynam wykrzykiwać jego imię. Podmuchy wiatru sprawiają jednak, że się cofam. Popychają mnie ku zatoczce. Staram się z nimi walczyć, poruszając rękoma jak wiosłami. Nie ma mowy, bym wróciła do punktu wyjścia. Pomruk fal staje się coraz głośniejszy. Zatoczka jest coraz bliżej. Tracę Faresa z pola widzenia. Ratunku! Nie chcę wrócić do Chardzi, nie, nie chcę tam wrócić!

* Mężczyzna, który co najmniej pięć razy dziennie wzywa wiernych do modlitwy, często ze szczytu minaretu.

- W czym mogę ci pomóc?

Męski głos wydobywa mnie z półsnu. Jest dziwnie łagodny. Nie musi się unosić, by przyciągnąć moją uwagę. Wyszeptał tylko kilka słów: „W czym mogę ci pomóc?”. I to wystarczyło... Nareszcie ktoś przychodzi mi z pomocą. Przecieram oczy i poznaję wąsatego sędziego, który stoi teraz na wprost mnie. Tłum się rozproszył, oczy zniknęły, pokój jest prawie pusty. A ponieważ milczę, mężczyzna w inny sposób formułuje swoje pytanie:

- Czego ci potrzeba?

Tym razem nie musi długo czekać na odpowiedź:

- Rozvodu!

Chardzi

W

Chardzi, wiosce, w której się urodziłam, nie uczy się kobiet, jak dokonywać wyboru. Tam zawsze mężczyźni decydują o wszystkim. Mając około szesnastu lat, moja matka, Szoja, poślubiła mojego ojca, Alego Mohammada Ahdela. Nie wypowiedziała ani słowa sprzeciwu. I gdy cztery lata później postanowił powiększyć rodzinę, biorąc za żonę drugą kobietę, potulnie podporządkowała się decyzji męża. Z taką samą rezygnacją i ja zaakceptowałam swoje małżeństwo, nie zdając sobie sprawy, co tak naprawdę ono znaczy. W moim wieku nie zadaje się zbyt wielu pytań.

- Skąd się biorą dzieci? - zapytałam niewinnie pewnego dnia Ommę*.

- Dowiesz się, jak będziesz większa - odpowiedziała, wykonując ruch ręką, jakby chciała odpędzić osę.

I choć moja dziecięca ciekawość nie została zaspokojona, nie dociekałam więcej i pobiegłam bawić się w ogrodzie z rodzeństwem. Najbardziej lubiliśmy zabawę w chowanego.

* Po arabsku „mama”.

Dolina Wadi Laa w prowincji Hadżdża na północy kraju, gdzie się urodziłam, obfituje w niezliczone kryjówki, w których mogliśmy się bez trudu chować: pnie drzew, duże skały, grotty wyrzeźbione przez czas. A gdy już zmęczeliśmy się bieganiem, zanurzałyśmy się w świeżej trawie i, leżąc, pozwalaliśmy, by laskotały nas jej źdźbła. Promienie słońca pieściły naszą skórę, opalając i tak już ciemne policzki. Wypoczęci, goniliśmy kury lub wymachiwaliśmy patykami, drażniąc osły.

Moja matka wydała na świat szesnaścioro dzieci. Cierpiała w milczeniu po trzech poronieniach, a każda ciąża była dla niej prawdziwym wyzwaniem. Jedno dziecko zmarło tuż po urodzeniu, czworo innych, których nie znałam, zachorowało w wieku od dwóch miesięcy do czterech lat i z braku pomocy lekarskiej nie udało się ich uratować*.

Urodziłam się w domu, podobnie jak moi bracia i siostry. Matka rodziła na pleconej macie, w straszliwych męczarniach, prosząc Boga, by chronił jej nowo narodzone dziecko.

- Wcale się nie spieszyłaś. Pierwsze skurcze poczułam około drugiej nad ranem. A poród trwał jeszcze połowę następnego dnia, w samym środku lata, w nieznośnym upale. To był piątek, dzień świąteczny - opowiadała mi od czasu do czasu, by zaspokoić moją ciekawość.

Nawet gdybym przyszła na świat w innym dniu tygodnia, niewiele by to zmieniło. Omma nigdy nie planowała rodzić w szpitalu. Nasza wioska, położona w głębi doliny, była zbyt

* Śmiertelność noworodków i małych dzieci w Jemenie należy do najwyższych na świecie.

oddalona od placówek medycznych. Składała się z co najwyżej pięciu niewielkich kamiennych budynków, w których nie było ani urzędu, ani sklepu, ani warsztatu samochodowego, ani nawet meczetu. Można do niej dojechać jedynie na grzbiecie muła. Tylko kilku najzuchwalszych kierowców pikapów miało odwagę zapuszczać się na kamienisty szlak wiodący wzdłuż potoku. A i tak musieli zmieniać opony co dwa miesiące, bo tak zła była ta droga. Wyobraźcie sobie, co by się działo, gdyby moja matka zdecydowała się jechać do szpitala... Urodziłaby po drodze! Omma mówi, że nawet „klinika na kółkach” nigdy nie zaryzykowała wyprawy do Chardzi!

- To kto się wtedy tobą opiekował jak pielęgniarka? - zdąrza mi się pytać Ommę natarczywie, gdy ta, zmęczona naga-bywaniami, zapomina zakończyć historię o moich narodzinach.

- No cóż, na szczęście mogłam liczyć na twoją starszą siostrę, Dżamilę. To ona pomogła mi przeciąć pępowinę nożem kuchennym. I to ona od razu cię wykąpała, a potem zawięła w tkaninę. Twój dziadek Dżad zdecydował, że będziesz się nazywać Nadżud. Podobno jest to imię beduińskie.

- Omma, urodziłam się w czerwcu czy w lipcu? A może już w sierpniu?

- Nadżud, kiedy wreszcie przestaniesz mnie męczyć?
- odpowiada zawsze mama, aby uwolnić się od moich dociekliwych pytań.

Tak naprawdę to po prostu tego nie wie. Ani moje imię, ani nazwisko nie są zapisane w urzędowych rejestrach. Na prowincji rodzi się dużo dzieci, a żadne z nich nie ma dokumentu tożsamości. A jeśli chodzi o rok moich narodzin...

Porównując różne fakty, moja matka wywnioskowała, że powinienam mieć prawie dziesięć lat. Ale równie dobrze może to być osiem lub dziewięć... Kiedy nalegam, rozpoczyna czasem zagmatwane rozważania, próbuje odtworzyć chronologię narodzin kolejnych dzieci, kojarząc poszczególne porody z porami roku, zgonami starszych krewnych, ślubami kuzynów i rodzinnymi przeprowadzkami. Wykazuje się przy tym wyjątkowymi zdolnościami.

I po tych wyliczeniach - o wiele bardziej skomplikowanych niż podczas płacenia za zakupy w sklepie - ustala zawsze, że to Dżamila jest najstarsza, po niej przyszedł na świat Mohammad, pierwszy syn, drugi najważniejszy mężczyzna w rodzinie, zaraz po moim ojcu. Następnie pojawiła się zamknięta w sobie Mona, a później porywczy Fares. Potem ja, a po mnie najbliższa mi Haifa, która jest teraz niemal mojego wzrostu. I dalej Morad, Abdo, Assil, Chaled. I najmłodsza z nas, Rawza o kręconych włosach. Doula, moja „ciocia” druga żona mojego ojca, która jest jego daleką krewną, ma pięcioro dzieci.

- Omma jest jak kura nioska! - naśmiewa się często Mona, gdy chce rozzłościć mamę. - Pamiętam, że kilka razy obudziłam się rano i odkryłam w jej łóżku noworodka, którego trzeba było otoczyć opieką. I na pewno to się jeszcze powtórzy...

Omma pamięta jednak, jak pewnego dnia pojawiła się u niej z wizytą przedstawicielka Towarzystwa Planowania Rodziny. Dostała wówczas tabletki mające zapobiec ciąży. Łykała je od czasu do czasu, gdy sobie o tym przypomniwała. Niedługo później ze zdumieniem zauważyła, że znów zaczął jej rosnąć brzuch.

Uznała wówczas, że widać tak musiało być. Z naturą się przecież nie wygra...

Nazwa Chardzi dobrze pasuje do mojej wioski. Po arabsku oznacza „na zewnątrz”. Inaczej mówiąc „na samym końcu świata”. Większość kartografów nie zadaje sobie nawet trudu, by zaznaczyć tę maleńką osadę na mapie. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że leży ona niedaleko Hadżdży, dość znanego miasta na północnym zachodzie Jemenu, powyżej Sany. Aby z tej zapadłej wsi dostać się do stolicy, trzeba podróżować co najmniej cztery godziny asfaltową szosą i drugie tyle piaszczystą i kamienistą drogą. Każdego ranka moi bracia musieli iść pieszo ponad dwie godziny, by dotrzeć do szkoły, znajdującej się w większej wiosce w dolinie. Tylko oni mieli prawo się uczyć. Mój ojciec, mężczyzna bardzo opiekuńczy, uważał, że dziewczęta są zbyt delikatne i wrażliwe, by mogły same poruszać się po pustynnych bezdrożach, na których niebezpieczeństwo czai się prawie za każdym kaktusem. A ponadto ani on, ani matka nie umieli czytać i pisać i żadne z nich nie uznawało tych umiejętności za przydatne dzieciom*.

Moją szkołą były więc okoliczne pola. Przyglądałam się też, jak Omma zajmuje się domem. Wyczekiwałam z niecierpliwością - nie mogąc jeszcze pójść z nimi - aż moje starsze siostry, Dżamila i Mona, zaczerpną źródlanej wody do żółtych kanistrów. Powietrze w Jemenie jest tak suche, że należy pić kilka litrów wody dziennie, by się nie odwodnić. Odkąd nauczyłam się chodzić, jednym z moich ulubionych miejsc zabaw stała

* Najemeńskiej prowincji ponad połowa kobiet to analfabetki.

się rzeka. Płynęła kilka metrów poniżej domu i była nam bardzo potrzebna. W jej czystym, klarownym nurcie Omma prała ubrania i płukała naczynia po każdym posiłku. Rankiem, gdy mężczyźni udali się już do pracy w polu, kobiety myły się tuż przy brzegu, w cieniu rozłożystych drzew. Podczas burzy wracaliśmy w pośpiechu do domu, bojąc się błyskawic i przemoczenia. Ale gdy tylko słońce wyglądało ponownie zza chmur, biegliśmy z powrotem ku rzece, która po deszczu przybierała i często sięgała mi do szyi. Aby uniknąć powodzi, moi bracia budowali małe tamy. Dobrze się przy tym bawiliśmy.

W drodze powrotnej ze szkoły chłopcy zbierali gałęzie, by palić nimi w tannurze, tradycyjnym piecu, w którym piecze się *chubz*, jemeński chleb. Moje siostry opanowały do perfekcji sztukę przygotowywania tych chrupiących placków. Niekiedy polewaliśmy je miodem, „jemeńskim złotem” - jak mówią dorośli. Ten z moich rodzinnych stron jest bardzo znany. Ojciec miał kilka uli, o które dbał z niezwykłą pieczołowitością. Omma powtarzała nam w nieskończoność, że miód jest zdrowy i daje dużo siły.

Do wieczornego posiłku siadaliśmy zwykle wokół sofry*, obrusu rozłożonego bezpośrednio na ziemi. Gdy Omma stawiała na nim duży, parujący garnek wypełniony salta, wołowiną lub baraniną w sosie z dodatkiem kozieradki**, na wyścigi staraliśmy się zanurzyć w nim dłonie. Lepiliśmy kuleczki z mięsa

* W krajach arabskich *sofra* zastępuje często stół, przy którym spożywa się posiłki.

** Aromatyczna roślina, często wykorzystywana w kuchni Bliskiego Wschodu. Bywa też składnikiem potraw afrykańskich i hinduskich.

i ryżu, które bardzo szybko znikwały w naszych ustach. Naśladowając rodziców, nauczyliśmy się jeść ze wspólnego naczynia. Nie używaliśmy ani talerzy, ani widelców czy noży. Tak właśnie jada się w Jemenie na wsi.

Od czasu do czasu Omma zabierała nas w sobotę na cotygodniowy targ, który odbywał się w samym środku doliny. Było to dla nas wielkie święto. Jechaliśmy tam na grzbietach osłów i robiliśmy duże zakupy. W wyjątkowo upalne dni Omma wkładała słomiany kapelusz na czarną zasłonę, która zakrywała znaczną część jej twarzy. Przypominała wówczas słonecznik.

Dni upływały nam dość szczęśliwie, ich rytm wyznaczały wschody i zachody słońca. Było to proste, ale spokojne życie, bez elektryczności i bieżącej wody. Za ubikację służyła obmurowana ceglami dziura w ziemi, ukryta za kępą krzewów. Po zmroku główny pokój, ozdobiony jedynie kilkoma poduszkami ułożonymi wprost na wysprzątej ziemi, zamieniał się w sypialnię. Aby przenieść się z jednego pomieszczenia do drugiego, musieliśmy przechodzić przez wewnętrzny dziedziniec. Latem stawał się on miejscem, gdzie toczyło się ożywione życie rodzinne. Omma zainstalowała tam kuchnię, w której stale paliła drewnem. Gdy przyrządzała sałtę, karmiła równocześnie piersią najmłodsze dzieci. W tym czasie moi bracia powtarzali alfabet, a dziewczęta odpoczywały na słomianych matach.

Mojego ojca nieczęsto można było zobaczyć w domu. Zazwyczaj wstawał o świcie i wypędzał zwierzęta na pastwisko. Miał

osiemdziesiąt owiec i cztery krowy. Te ostatnie dawały wystarczająco dużo mleka, by można było z niego robić masło, jogurt i twarożek. Gdy ojciec szedł z wizytą do sąsiedniej wioski, wkładał zawsze brązową marynarkę, a u pasa zawieszał dżambiję. Mówi się, że ten sztylet, noszony przez mężczyzn z mojego kraju, dobrze zaostrzony i ręcznie zdobiony, jest w jemeńskim społeczeństwie symbolem władzy, męskości i autorytetu. Rzeczywiście, dodawał ojcu pewności siebie, której trudno było nie zauważyć. Byłam dumna z mojego Aby. Jeśli jednak dobrze rozumiem, jest to przede wszystkim broń reprezentacyjna. Poszczególne egzemplarze różnią się ceną, w zależności od tego, czy głównie wykonano z plastiku, kości słoniowej lub prawdziwego rogu nosorożca. Zgodnie z zasadami naszej kultury plemiennej nie wolno używać dżambii do obrony lub ataku w razie sprzeczki. Można natomiast wykorzystywać sztylet jako narzędzie polubownego rozstrzygnięcia sporów. Przede wszystkim jednak stanowi on symbol plemiennej sprawiedliwości. Mój ojciec nie myślał nigdy, że kiedykolwiek go użyje, aż do tego nieszczęsnego dnia, w którym musieliśmy w pośpiechu opuścić wioskę.

Miałam dwa lub trzy lata, gdy wybuchł „skandal”. Omma, co zdarzało się niezmiernie rzadko, wyjechała wówczas do Sany, gdyż miała problemy ze zdrowiem. Z jakiegoś powodu, związanego przypuszczalnie z jej nieobecnością - szczegóły nie przykuły wtedy mojej uwagi - rozgorzał gwałtowny spór między moim ojcem a pozostałymi mieszkańcami Chardzi. W rozmowach często powtarzało się imię Mony, drugiej z kolei córki w naszej rodzinie. Postanowiono rozwiązać problem zgodnie

z tradycją plemienną, kładąc sztylety i sterty pieniędzy między stronami konfliktu. Sytuacja wymknęła się jednak spod kontroli, ostrza znalazły się na zewnątrz pochew. Mieszkańcy Chardzi oskarżyli moich bliskich o naruszenie dobrego imienia wioski, splamienie jej honoru. Ojciec był wściekły. Czuł się oszukany i poniżony przez ludzi, których uważał za przyjaciół. Mona z dnia na dzień wyszła za mąż. Nie miała więcej niż trzynaście lat. Co się wówczas stało? Byłam wówczas za mała, by to zrozumieć. Musieliśmy uciekać, pozostawiając wszystko: owce, kury, pszczoły i wspomnienia o miejscu, które uważałam za skrawek raju na Ziemi.

Początek życia w Sanie był bardzo trudny. Nie potrafiliśmy się przyzwycząić do wszechobecnego pyłu i nieznośnego hałasu w stolicy. Kontrast między zielenią doliny Wadi Laa a suszą dającą się we znaki w dużym mieście wydawał się nie do zniesienia. Gdy tylko oddalaliśmy się od dawnego centrum z ładnymi, tradycyjnymi domami z ubitej gliny, o oknach z białym, niemal koronkowym wykończeniem, wtapialiśmy się w pozbawioną wdzięku płataninę betonowych budynków bez duszy. Na ulicy spaliny drażniły mi gardło, moja twarz znajdowała się niemal na wysokości rur wydechowych. Nie było zbyt wielu parków, w których można by odpocząć. Wstęp do większości był płatny, a więc możliwy tylko dla najbogatszych.

Zamieszkaliśmy na parterze jednej z ruder w dzielnicy Al-Kaa, przy bardzo zaśmieconej uliczce. Aba był przybity. Niewiele się odzywał. Stracił apetyt. Jak zwykły wieśniak,

analfabeta bez zawodu, miał wyżywić rodzinę w stolicy, w której nie brakowało już bezrobotnych? Inni, którzy przed nim przybyli tu ze wsi, by szukać szczęścia, musieli stawić czoło trudnościom nie do pokonania. Niektórzy z nich byli zmuszeni wysłać żony i dzieci, by na ulicy żebrały o kilka monet. Stukając do wielu drzwi, mój ojciec znalazł w końcu pracę jako zamiatacz w miejscowym urzędzie. To, co zarabiał, ledwie starczało na opłacenie czynszu. Przy każdym spóźnieniu właściciel się gniewał i podnosił głos. Omma płakała. I nikt nie potrafił ukoić jej bólu.

Skończywszy dwanaście lat, Fares, czwarte z kolei dziecko w mojej rodzinie, zaczął mieć zachcianki typowe dla chłopców w jego wieku. Codziennie domagał się pieniędzy na cukierki, modne spodnie i buty - takie jakie widywaliśmy na plakatach reklamowych. Piękne, zupełnie nowe buty, które kosztowały więcej, niż Aba zarabiał przez cały miesiąc! Z natury porywczy, choć wcześniej również dobronny, Fares miał stale nowe żądania. Zdarzało mu się grozić rodzicom, że ucieknie z domu, jeśli nie spełnią jego zachcianek. Mimo że zadufany w sobie, był moim ulubionym bratem. On przynajmniej mnie nie bił, jak najstarszy z braci, Mohammad, który uważał, że może nami rządzić. Podziwiałam ambicję Faresa, jego zapalczywość i sposób, w jaki potrafił przeciwstawić się wszystkim, nie licząc się z reakcją najbliższego otoczenia. Dokonywał wyborów i umiał się ich trzymać. I to nawet jeśli musiał stawić czoło całej rodzinie. Pewnego dnia, po kłótni z ojcem, opuścił dom i już go więcej nie widzieliśmy.

Po raz pierwszy zobaczyłam, że Aba płacze. Żeby odpędzić smutek i żal, zaczął wychodzić z domu na wiele godzin spędzając czas w towarzystwie dawnych znajomych. W końcu stracił pracę. Ommę coraz częściej dręczyły w nocy koszmary. Spaliśmy wszyscy wraz z nią w głównym pomieszczeniu, na materacach ułożonych wprost na podłodze, i wiele razy budziło mnie w nocy jej szlochanie. Bardzo cierpiała - to było widać.

Po Faresie pozostało tylko kolorowe zdjęcie legitymacyjne, które Mohammad przechowywał troskliwie w portfelu. Na fotografii mój brat wyglądał zupełnie jak żywy: trzymał głowę prosto, biały turban okrywał brązowe, kręcone włosy. Z pewnością chciał w ten sposób dodać sobie lat. Patrzył w obiektyw figlarnie i kpiąco.

Nagle, po dwóch latach od jego ucieczki, nieoczekiwanie zadzwonił telefon.

- W Arabii Saudyjskiej... Wszystko w porządku... Jestem pasterzem... Tak, pracuję jako pasterz... Nie martwcie się o mnie... - W ten sposób Fares dał nam pierwszy znak życia.

Choć przeszedł mutację, od razu rozpoznałam jego głos. Wydał mi się jeszcze bardziej pewny siebie. Połączenie telefoniczne, pełne zgrzytów i trzasków, zostało szybko przerwane. Jak to się stało, że znalazł się tak daleko? W jakiej miejscowości przebywał? Czy leciał już samolotem, miał szczęście wznieść się ponad chmury? Gdzie dokładnie leży ta Arabia Saudyjska? Czy jest tam morze? Pytania kłębiły się w mojej głowie. Z podsłuchanej rozmowy rodziców i Mohammada zrozumiałam, że Fares padł ofiarą handlarzy dziećmi. Mówi się, że to

częste zjawisko w Jemenie*. Czy to oznacza, że znalazł przybranych rodziców? Być może był szczęśliwy i mógł wreszcie kupić sobie te wszystkie cukierki i dzinsy, o których tak bardzo marzył. Strasznie mi go brakowało.

Aby zapełnić pustkę spowodowaną nieobecnością Faresa, zamykałam się w świecie marzeń. Myślałam o wodzie, ale nie w rzece, lecz w oceanie... Zawsze chciałam być żółwiem, by móc pływać w wodzie. Nigdy nie widziałam morza. W zeszytach rysowałam kredkami fale. Wyobrażałam sobie, że są zielone lub niebieskie.

- Fale są niebieskie! - poinstruowała mnie pewnego dnia moja przyjaciółka Malak, rzucając przez ramię spojrzenie na mój rysunek.

Malak i ja stałyśmy się nierozłączne. Poznałam ją w dzielnicy Al-Ka'a, w szkole, do której moi rodzice zgodzili się w końcu mnie zapisać. Podczas przerwy często grywałyśmy w kulki. Spośród siedemdziesięciu uczennic, które tłoczyły się w klasie, to właśnie ona była moją najlepszą przyjaciółką. Skończyłam z sukcesem pierwszy rok nauki i właśnie rozpoczynałam drugi. Każdego ranka Malak przychodziła po mnie do domu i razem szłyśmy do szkoły.

- Skąd wiesz?

* Jednym ze skutków biedy panującej w Jemenie jest sprzedaż do Arabii Saudyjskiej dzieci z najbiedniejszych rodzin. Według szacunków niektórych miejscowych organizacji pozarządowych około 30% dzieci w wieku szkolnym, które mieszkają niedaleko granicy, ucieka każdego roku do Arabii Saudyjskiej. Pracują tam w skrajnie złych warunkach. Zdarzają się również przypadki molestowania seksualnego, co jest tematem tabu.

- Na wakacje jeżdżę z rodzicami do Hodejdy. A tam można zobaczyć morze - odpowiedziała Malak.

- Jaki ma smak?

- Jest słone!

- A piasek też jest niebieski?

- Nie, żółty! I taki micciutki, nawet sobie nie wyobrażasz...

- A co pływa w morzu?

- Statki, ryby i ludzie, którzy się kąpią...

Malak dodała, że właśnie tam nauczyła się pływać. A ponieważ nie byłam nigdy nawet na basenie, wydało mi się to fascynujące. Próbowałam zrozumieć, w jaki sposób utrzymywała się na powierzchni wody, ale nie udawało mi się zgłębić tej tajemnicy. Pamiętałam jedynie, że w Chardzi Omma krzyczała zawsze, gdy podchodziłam zbyt blisko rzeki.

- Uwaga, nie wpadnij do wody, bo się utopisz!

Malak powiedziała też, że dostała od mamy piękny, kolorowy kostium kąpielowy i nauczyła się budować zamki z piasku - z wieżyczkami i dużymi schodami - które później znikaly, zmywane przez fale. Pewnego dnia przyłożyła mi do ucha dużą muszlę, którą przywiozła z Hodejdy.

- Wytęż słuch, a usłyszysz morze.

- Słyszę fale, tak, słyszę fale! To wspaniałe! — wykrzyknęłam.

Woda kojarzyła mi się przede wszystkim z deszczem, który coraz rzadziej pada w Jemenie. Zdarzało się, że w samym środku lata zaskakiwał nas grad. Ależ byłam wtedy szczęśliwa! Wraz z rodzeństwem wybiegałam na ulicę, by zbierać do miski malutkie kawałki lodu. Z dumą je liczyłam, bo w szkole

nauczyłam się liczyć do stu. Gdy lód stopniał, skrapialiśmy zimną wodą twarz, by się ochłodzić. Mona, która po zamieszaniu w Sanie stała się dość kapryśna, niekiedy przyłączała się do nas. Dwa miesiące po naszym pospiesznym wyjeździe z Chardzi również i ona przyjechała do Sany z mężem, który tak nieoczekiwanie pojawił się w jej życiu.

Z upływem lat Mona odzyskiwała powoli swój naturalny uśmiech, kpiące spojrzenie i poczucie humoru, które tak często irytowało Ommę. Wydała na świat dwoje ładnych dzieci, Monirę i Nassera, które dawały jej dużo szczęścia. Nasza rodzina i rodzina jej męża w końcu się do siebie zbliżyły. Aby wzmocnić te więzi, postanowiono, że zgodnie z tradycją *sighar** mój najstarszy brat Mohammad ożeni się zjedną z sióstr mojego szwagra.

Było to zbyt piękne, by mogło długo trwać. Pewnego dnia zniknął mąż Mony, a wraz z nim moja najstarsza siostra Dżamila. Czy uciekli tak jak Fares do Arabii Saudyjskiej, myśląc, że dorobią się tam fortuny i może przywiozą nam elektroniczne zabawki? Albo kolorowy telewizor? Rodzice często szeptali na ich temat, ale dzieciom nie wolno było zadawać żadnych pytań. Pamiętam, że tuż po tym tajemniczym zniknięciu, którego przyczynę miałam zrozumieć dużo później, Mona zaczęła znów miewać zmienne nastroje. Przez większość czasu była smutna i melancholijna, a potem nagle wybuchała szalonym śmiechem. Stawała się wtedy znów piękna, a jej duże, brązowe oczy

* „Wymiana małżeńska” to stary zwyczaj, ciągle jeszcze rozpowszechniony w Jemenie, zwłaszcza w najbiedniejszych środowiskach. Polega on na tym, że zamiast zapłaty za ożenek wydaje się młodszą siostrę pana młodego za kogoś z rodziny panny młodej.

błyszczały, podkreślając delikatne rysy twarzy. Moja siostra miała wiele wdzięku.

Niezależnie od tego, w jakim była nastroju, stała się dla mnie bardzo czuła i opiekuńcza, zupełnie jakbym była jej trzecim dzieckiem. Niekiedy zabierała mnie ze sobą, gdy szła oglądać wystawy sklepowe w alei Haile, znanej ze sklepów z odzieżą. Z twarzą przyklejoną do szyby patrzyłam z zazdrością na kreacje wieczorowe z cekinami, czerwone spódnice, bluzki z czerwonego, niebieskiego, fioletowego, żółtego i zielonego jedwabiu... Wyobrażałam sobie, że staję się księżniczką. Podziwiałam suknie ślubne, które przypominały filmowe kreacje lub baśniowe stroje wróżek. Były piękne i sprawiały, że zaczynałam marzyć.

Pewnego wieczoru w lutym 2008 roku, gdy wróciłam do domu, Aba oznajmił, że ma dla mnie dobrą wiadomość.

- Nadzud, niedługo wychodzisz za mąż.

W sędziego

Sędzia Abda z trudem ukrywa zdumienie.
— Chcesz się rozwieść?

- Tak!

- Ale... jesteś mężatką?

- Tak!

Ma delikatne rysy twarzy, a biała koszula dodaje blasku jego matowej skórze. Słyszając moją odpowiedź, posępnieje. Sprawia wrażenie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co mówię.

- W twoim wieku? Jak możesz już być zamężna?

- Chcę rozwodu! - powtarzam stanowczo, nie zwracając uwagi na jego pytanie.

Rozmawiając z nim, nie płaczę. Zupełnie jakbym już wyczerpała cały zapas łez. Czuję zdenerwowanie, lecz się nie waham. Jest we mnie tylko jedna myśl: ten koszmar musi się skończyć. Wystarczająco długo cierpiałam w milczeniu.

- Ale... jesteś taka mała i drobna...

Przytakuję, nie spuszczaając z niego wzroku. Zaczyna nerwowo skubać wąsy. Oby tylko zechciał mi pomóc! W końcu to sędzia. Z pewnością ma dużą władzę.

- A dlaczego chcesz się rozwieść? - pyta naturalnym tonem, jakby starał się ukryć zdumienie.

Patrzę mu prosto w oczy.

- Mąż mnie bije!

Zupełnie jakbym wymierzyła mu policzek. Jego twarz ponownie tężeje. Właśnie zrozumiał, że spotkało mnie coś naprawdę poważnego i nie mam powodu kłamać. Nie próbując nawet kluczyć, zadaje mi wprost bardzo istotne pytanie:

- Jesteś nadal dziewicą?

Przełykam ślinę. Wstydzę się mówić o tych rzeczach. To krępujące. W moim kraju kobiety powinny zachowywać dystans wobec mężczyzn, których nie znają. A tego sędziego widzę przecież pierwszy raz. W tej samej chwili jednak dociera do mnie, że jeśli chcę się uwolnić, muszę teraz skoczyć na głęboką wodę.

- Nie, krwawiłam...

Wydaje się wstrząśnięty. Nagle mam wrażenie, że z nas dwojga to on może stchórzyć. Widzę też wyraźnie jego zaskoczenie. I to, że próbuje ukryć emocje. Bierze wreszcie głęboki oddech i mówi:

- Pomogę ci.

Fakt, że komuś o tym powiedziałam, sprawił, że czuję się dziwnie lekka. Ogromny kamień spadł mi z serca. Patrzę, jak sędzia nerwowym gestem podnosi słuchawkę. Słyszę, jak rozmawia przez telefon z inną osobą, przypuszczalnie z kolegą po fachu. Gdy mówi, wymachuje rękami na wszystkie strony. Wydaje się, że bardzo chce, by mój koszmar się skończył. Oby tylko znalazł właściwe rozwiązanie! Przy odrobinie szczęścia będzie działał szybko, bardzo szybko... i już wieczorem

będę mogła wrócić do rodziców i znów bawić się z rodzeństwem. Za kilka godzin będę rozwiedziona. Rozwiedziona! Znów wolna! Koniec z mężem. Koniec z lękiem, że gdy nadejdzie zmrok, kolejny raz znajdę się z nim sam na sam w sypialni. Koniec ze strachem, że znów będę musiała cierpieć...

Moja radość była jednak przedwczesna.

- Wiesz, dziecko, to może zająć o wiele więcej czasu, niż sobie wyobrażasz. To delikatna sprawa. I niestety, nie mogę ci zagwarantować, że wygrasz.

Drugi sędzia, który do nas dołączył, ostudził mój entuzjazm. Nazywa się Mohammad al-Ghazi. Wydaje się zakłopotany. To prezes sądu, szef wszystkich sędziów, jak wyjaśnia mi Abdo. Mówi też, że w całej swojej karierze nie miał do czynienia z podobnym przypadkiem. Obaj tłumaczą, że w Jemenie dziewczęta są wydawane za mąż bardzo wcześnie, nawet przed ukończeniem wymaganych prawem piętnastu lat*. To stara tradycja. Według ich wiedzy nie orzeczono jednak nigdy rozwodu w takiej sprawie... bo żadna dziewczynka nie przyszła dotychczas do sądu, by o to poprosić. To kwestia honoru rodziny, przynajmniej tak się uważa. Moja sytuacja jest wyjątkowa i... skomplikowana.

- Trzeba będzie znaleźć adwokata - wyjaśnia Abdo, lekko zbity z tropu.

* Poprawka do prawa małżeńskiego, które weszło w życie w 1999 roku, pozwala rodzicom wydać córkę za mąż przed ukończeniem przez nią piętnastego roku życia, jeśli mąż obieca, że nie podejmie współżycia, dopóki nie osiągnie ona dojrzałości płciowej. Warunek ten - sformułowany wystarczająco nieprecyzyjnie, by stał się przedmiotem różnych interpretacji - rzadko bywa respektowany.

Po co mi adwokat? Co to za sąd, jeśli nie może od razu dać rozwodu? Wcale nie chcę być wyjątkowym przypadkiem. Prawo jest po to, by pomagać ludziom, tak czy nie? Sędziowie wydają się mili, ale czy wiedzą, że jeśli teraz wrócę do domu bez żadnej ochrony, przyjdzie po mnie mąż i wszystko będzie jak dawniej? Nie, nie mogę wrócić do domu.

- Chcę rozwodu!

Mówię to z naciskiem, marszcząc brwi.

Moje słowa odbijają się echem, sprawiając, że aż podskakuję. Musiałam odezwać się zbyt głośno. A może to te grube, białe mury potęgują głos?

- Znajdziemy jakieś rozwiązanie, znajdziemy jakieś rozwiązanie. ... - mruczy Mohammad al-Ghazi, poprawiając turban.

Dręczy go jeszcze inny problem. Zegar wybił właśnie czterenaście godzin, o której zamykane są biura. Jest środa, niedługo zacznie się muzułmański weekend. Sąd zostanie ponownie otwarty dopiero w sobotę. Rozumiem, że po tym, co ode mnie usłyszeli, obaj sędziowie również niepokoją się, że miałabym wrócić do domu męża.

- Nie ma mowy o tym, by posłać ją z powrotem. Nie może też sama chodzić po ulicach. Nie wiadomo, co mogłoby się przydarzyć - ciągnie dalej Mohammad al-Ghazi.

Abdo ma pomysł: dlaczego nie miałabym się schronić w jego domu? Ciągle jeszcze nie może pogodzić się z tym, co usłyszał, i jest gotowy zrobić wszystko, by wyrwać mnie z rąk męża. Szybko jednak wycofuje się z propozycji, gdyż przypomina sobie, że jego żona wyjechała z dziećmi na kilka dni na wieś,

jest więc sam w domu. A zgodnie z muzułmańską tradycją kobieta nie może przebywać sam na sam z mężczyzną, który nie jest jej *mahram*, czyli nie istnieje między nimi bezpośrednie pokrewieństwo.

Co robić?

Trzeci sędzia, Abdel Wahed, zgłasza się na ochotnika. Jego rodzina nigdzie nie wyjechała, a ponadto mają wystarczająco dużo miejsca, by mnie przyjąć. Jestem uratowana! Przynajmniej na jakiś czas. Także ten mężczyzna ma wąsy. Wydaje się postawniejszy niż Abdo. Okulary w metalowej oprawie nadają jego twarzy bardzo poważny wygląd. I jeszcze ten garnitur! Nie mam odwagi się odezwać. Postanawiam jednak wziąć się w garść. Lepiej zapomnieć o nieśmiałości, niż wrócić do domu...

Uspokaja mnie również to, że sędzia wydaje się dobrym ojcem, który dba o swoje dzieci. Zupełnie inaczej niż mój tata...

Ma duży, wygodny samochód. I bardzo czysty. Z małych wywietrzników wylatuje świeże powietrze. Łaskocze mnie w twarz. To bardzo przyjemne. W czasie jazdy niemal się nie odzywam. Nie wiem, czy to z nieśmiałości, czy z niepokoju, czy też dlatego, że dobrze się czuję z tymi wszystkimi dorosłymi, którzy się o mnie troszczą.

W końcu ciszę przerywa Abdel Wahed.

- Jesteś bardzo odważną dziewczynką! Brawo! Niczego się nie bój! Masz prawo żądać rozwodu. Inne dziewczęta przed tobą miały takie same kłopoty, ale - niestety - nie ośmieliły się o nich mówić... Zrobimy wszystko, by cię chronić. Spróbujemy wszystkiego. Nie pozwolimy, żebyś wróciła do męża. Nigdy! Obiecuję!

Moje wargi same układają się w uśmiech. Nie zdarzyło mi się to od tak dawna!

- Być może jeszcze tego nie wiesz, ale jesteś wyjątkową dziewczynką! - dodaje sędzia.

Czerwienię się po same uszy.

W domu Abdel Wahed od razu przedstawia mnie żonie Sabie i dzieciom. Jego córka Szima jest ode mnie młodsza o trzy lub cztery lata. Ma w swoim pokoju mnóstwo lalek Fulla, będących arabskim odpowiednikiem amerykańskiej Barbie o blond włosach, o której marzą wszystkie dziewczynki w Jemenie.

- *Haram*!* - reaguje żywiłowo Szima na wyjaśnienia mamy, że bił mnie pewien zły mężczyzna. Marszczy przy tym brwi, naśladując dorosłego, który chce kogoś zbesztać. Wzrusza mnie jej oburzenie. Uśmiechając się przyjaźnie, daje mi znak, żebyśmy poszły się razem pobawić. Bierze mnie za rękę.

Jej czterej bracia oglądają kreskówki. Są tutaj dwa telewizory. Co za luksus!

- Czuj się jak u siebie w domu - mówi Saba łagodnym i serdecznym głosem.

A więc tak może wyglądać życie rodzinne... Bałam się, że będą mnie uważać za dziwolągą, gdy tymczasem bardzo szybko uznali mnie za swoją. Jest mi dobrze. Mam wrażenie, że mogę im wszystko powiedzieć. Nie przyjdzie im do głowy mnie oceniać. Ani karać. I tego wieczoru, siedząc w salonie, po raz pierwszy zbieram się na odwagę, by opowiedzieć swoją historię...

* Słowo *haram*, które oznacza „zabronione” lub „nieдозwolone”, bywa często używane jako wykrzyknik wyrażający zdziwienie lub współczucie - tutaj: „biedna!”.

Ślub

luty 2008 roku

Gzas mijał zawsze bardzo szybko, gdy spacerowałyśmy z Moną po alei Haile. Zdarzało się, że zbyt blisko przysuwałyśmy twarze do wystawy ulubionego sklepu, a wtedy wieczorowe kreacje znikwały za mgiełką z pary, która osiadała na szybie. Moją uwagę przykuwała zazwyczaj ślubna suknia upięta na plastikowym manekinie. Oto strój prawdziwej damy! I jaki kontrast z tymi wszystkimi kobietami na ulicy, ubranymi od stóp do głów na czarno.

- *In sha a Allah**, w dniu ślubu będziesz miała podobną - szeptała Mona z błyszczącymi oczami, które otaczał nikab, zasłaniający pozostałą część twarzy. Moja siostra wkładała go zawsze, gdy wychodziła z domu.

Mona rzadko się uśmiechała. Nie miała pięknego, radosnego ślubu. Wydano ją za mąż w pośpiechu i ubrano w niebieską suknię. Poza tym szczegółem kolorystycznym niewiele się od niej

* Dosłownie: „Jeśli Allah zechce”.

dowiedziałam o okolicznościach związanych z zawarciem małżeństwa. Od kiedy jej mąż nagle wyjechał w nieznanym kierunku, nigdy już o nim nie słyszałam. Sądziłam, że podróżuje gdzieś daleko od Jemenu, ale nie starałam się dowiedzieć niczego więcej. Mona nie lubiła, kiedy ją o to pytałam. Szeptala jedynie, że życzy mi z całego serca, bym była szczęśliwa i trafiła na czulego męża, który będzie mnie szanował.

Nie myślałam wtedy, że dzień mojego ślubu nadejdzie tak szybko.

Niewiele zresztą wiedziałam o małżeństwie. Kojarzyło mi się przede wszystkim z wielkim świętem, mnóstwem prezentów, czekolady i biżuterii. Z nowym domem, z nowym życiem! Kilka lat wcześniej brałam udział w kilku ceremoniach ślubnych dalekich kuzynów i kuzynek. Pamiętałam tańce przy muzyce. Kobiety wyglądały bardzo elegancko w swoich długich, czarnych strojach. Wszystkie miały doskonały makijaż i włosy ułożone przez fryzjera. Zupełnie jak modelki ze zdjęć na opakowaniach szamponu. Z grzywką spiętą małą spinką w kształcie motyla, żeby dodać sobie kokieterii. Zawsze dobrze się bawiłam na weselach. Podziwiałam rysunki henną na dłoniach i ramionach panien młodych. Były to piękne motywy kwiatowe. Marzyłam o tym, żeby pewnego dnia mieć takie ozdoby na swoich rękach.

Wiadomość o ślubie spadła na mnie nieoczekiwanie. Kiedy Aba oznajmił, że nadeszła moja kolej, nie do końca zrozumiałam, o czym mówi. Początkowo przyjąłam to niemal z ulgą, jako rozwiązanie problemu. Życie w domu bowiem stało się

nie do zniesienia. Odkąd Aba stracił pracę w urzędzie miejskim, nie mógł znaleźć stałego zatrudnienia. Ciągłe spóźnialiśmy się z zapłatą czynszu i właściciel domu stale groził nam eksmisją.

Z oszczędności Omma gotowała wyłącznie ryż z warzywami. Zaczęła mnie uczyć różnych prac domowych. Wraz z nią przygotowywałam *szafut*, duży naleśnik, który smaruje się gęstym jogurtem z dodatkiem cebuli i czosnku, a także *bin as-sahn*, pyszny miodowy deser. Gdy ojciec przynosił wystarczająco dużo pieniędzy, matka wysyłała jednego z moich braci, żeby kupił kurczaka. Przyrządzała go na piątek, święty dzień w muzułmańskim kalendarzu. Nie jadaliśmy czerwonego mięsa - było zbyt drogie. Przypominam sobie, że kosztowałam *fatah*, potrawkę wołową, kiedy po raz pierwszy byłam w restauracji, do której zaprosili nas kuzyni z okazji Id al-Fitr. Pozwolono nam wówczas napić się pepsi, ciemnego, gazowanego napoju wprost z Ameryki. A gdy już wychodziliśmy, kelner skropił moje ręce perfumami, tak jak dorosłym. Ależ one pachniały!

Omma nauczyła mnie również przygotowywać placki chlebowe. Rozpalała ogień, a ja wyrabiałam ciasto, rozwałkowywałam je, nadając kształt księżycy w pełni. Następnie wykładałam plackami ściany tradycyjnego pieca *tannur*. Pewnego dnia mama zrezygnowała z pieczenia, wymieniając na bazarze piec na kilka banknotów. Od tej pory za każdym razem, gdy byliśmy w potrzebie, sprzedawała kolejne nasze rzeczy. Pogodziła się z tym, że nie może liczyć na swojego ojca.

I wreszcie nadszedł dzień, w którym nie pozostało już nic do sprzedania. Z braku pieniędzy niewiele jadaliśmy. W końcu moi bracia dołączyli do grona drobnych ulicznych sprzedawców,

którzy nagabują kierowców zatrzymujących samochody na czerwonym świetle. Stukali w przednią szybę, licząc na kilka monet w zamian za paczkę gumy do żucia lub chusteczek higienicznych. Potem zajęła się tym również Mona. Żebractwo nie wyszło jej jednak na dobre. Już pierwszego dnia zatrzymała ją policja i wysłała na kilka dni do specjalnego ośrodka. Po powrocie do domu Mona opowiedziała nam, że przebywała z kobietami oskarżonymi o utrzymywanie bliskich kontaktów z kilkoma mężczyznami naraz, a strażniczki więzienne ciągnęły je za włosy. Gdy poczuła się lepiej, znów wyszła na ulicę, by zdobywać drobne sumy. I znów natknęła się na policjantów. Po drugim pobycie w ośrodku zrezygnowała z tych ryzykownych wypadków. Teraz my, Haifa i ja, musiałyśmy ją zastąpić. Stukałyśmy w szyby samochodów stojących na światłach, niemal nie ośmielając się podnieść wzroku na kierowców. Bardzo często udawali, że nas nie widzą. Nie lubiłam tego żebrania, ale nie było innego wyjścia.

W dni, kiedy Aba nie leżał do późna w łóżku, wychodził tuż po świcie, by siedząc w kucki, wraz z innymi bezrobotnymi czekać na okazję na jednym z pobliskich placów. Wszyscy mieli nadzieję zdobyć pracę na jeden dzień jako robotnicy, murarze czy pomocnicy do wszystkiego za 1000 riali*. Popołudnia ojciec spędzał coraz częściej u sąsiadów, żując czuwaliczkę. Mówił, że to pozwala mu zapomnieć o problemach. Zamieniło się to w stały rytuał. Siedząc z innymi mężczyznami z sąsiedztwa, wyjmował najładniejsze zielone liście z małej plastikowej

* Około 16 złotych.

torebki i wkładał je do ust. W miarę opróżniania torebki coraz bardziej pęczniał jego policzek. Liście tworzyły w końcu kulę, którą przeżuwał całymi godzinami.

W trakcie jednego z takich spotkań podszedł do niego młody, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna.

- Chciałbym, aby nasze rodziny się połączyły - powiedział.

Nazywał się Faez Ali Samer. Pracował jako goniec - na motorze przewoził paczki w różne miejsca. Tak jak my pochodził z Chardzi. Szukał żony. Mój ojciec szybko się zgodził. Wiedział, że teraz musi wydać za mąż właśnie mnie, bo moje starsze siostry Dżamila i Mona były już zamężne. Podjął decyzję, zanim jeszcze wrócił do domu. I nikt nie mógł mu się sprzeciwić.

Tego wieczoru usłyszałam rozmowę Mony z ojcem.

- Nadzud jest za mała, żeby wyjść za mąż - powiedziała Mona.

- Za mała? Mahomet poślubił Aiszę, gdy miała dziewięć lat.

- Tak, ale to były czasy Proroka. Teraz jest inaczej.

- Posłuchaj, to małżeństwo jest najlepszym sposobem, aby ją ochronić!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dobrze wiesz. Uniknie dzięki temu takich kłopotów jak twoje czy Dżamili... Nie porwie jej nieznajomy, nie stanie się tematem złych plotek... Ten człowiek wydaje się przynajmniej uczciwy. Jest znany w dzielnicy. Pochodzi z naszej wioski. I przyrzekł, że nie tknie Nadzud, dopóki mała nie podrośnie.

-Ale...

- Podjąłem już decyzję. Poza tym dobrze wiesz, że nie mamy wystarczająco dużo pieniędzy, by wyżywić całą rodzinę. Jedna gęba mniej...

Matka milczała. Wydawała się smutna, ale pogodzona z losem. W końcu ona także została wydana za mąż przez swojego ojca, jak większość dziewcząt w Jemenie. Doskonale wiedziała, że w naszym kraju kobiety są posłuszne, a mężczyźni wydają polecenia. Jej ewentualna próba wzięcia mnie w obronę byłaby z góry skazana na niepowodzenie.

Słowa ojca dźwięczały w mojej głowie. „Jedna gęba mniej...”. Dla niego byłem tylko ciężarem, więc skorzystał z pierwszej okazji, by się mnie pozbyć... To prawda, nie zawsze byłem małą grzeczną dziewczynką. Ale w końcu wszystkie dzieci robią psikusy; taka jest ich natura. A ja go kochałam mimo wszystkich wad, przykrego zapachu czuwaliczki i wysyłania nas, żebyśmy żebrali na ulicy o kawałek chleba.

„Uniknie dzięki temu takich kłopotów jak twoje czy Dżamili”. Co ojciec miał na myśli? Wiedziałam tylko, że minął tydzień, potem drugi, trzeci, a Dżamila nie wracała. Wyjechała nagle, podobnie jak mąż Mony. W końcu przestałam liczyć dni, które mijaly od jej zniknięcia. Choć wcześniej bywała u nas często, teraz nie pojawiała się wcale. Bardzo ją lubiłam. Była zamknięta w sobie, nie mówiła dużo, ale jednocześnie była troskliwa i dobra. Czasem przynosiła mi słodycze. Mąż Mony także nigdy nie wrócił ze swojej tajemniczej podróży. Dokąd się udał? Historie dorosłych były dla mnie zbyt skomplikowane.

Podczas nieobecności syna teściowa Mony zażądała prawa do opieki nad wnukami: trzyletnią Monirą i półtorarocznym Nasserem. Mojej siostrze omal nie pękło serce. Robiła, co mogła, by nie rozdzielono jej z dziećmi. Odniosła w tej walce połowiczne zwycięstwo. Zdołała zachować przy sobie synka pod pretekstem, że ciągle jeszcze karmi go piersią. Przejęta stałym lękiem, że go straci, nigdy się z nim nie rozstawała. Gdy tylko nieco się oddalił, biegła za nim i chwyciła w ramiona, przytulając mocno do siebie, niczym skarb, który ktoś chce jej ukraść.

Przygotowania do ślubu rozpoczęły się bardzo szybko. I równie prędko zdałam sobie sprawę ze swojego nieszczęścia. Zgodnie z decyzją rodziny mojego przyszłego męża, na miesiąc przed ceremonią ślubną musiałam przestać chodzić do szkoły. Z ciężkim sercem pożegnałam się z Malak, obiecując, że niedługo wrócę.

- Pewnego dnia pojedziemy razem nad morze — szepnęła moja przyjaciółka, mocno mnie ściskając.

Miałam jej już nigdy nie zobaczyć.

Musiałam też opuścić dwie ukochane nauczycielki, Sarnię i Samirę. To one nauczyły mnie pisać po arabsku własne imię, od prawej do lewej: krzywe *nun*, opływowe *dżim*, zaokrąglone *waw* i wąskie *dal*: Nadżud! Wiele im zawdzięczałam.

Matematyka i studiowanie Koranu należały do moich ulubionych przedmiotów. Podczas lekcji staraliśmy się przyswoić pięć podstawowych pojęć islamu: *szabada*, czyli wyznanie wiary; pięć codziennych modlitw; *hadżdż*, odpowiadający wielkiej pielgrzymce do Mekki; *zakat*, czyli pieniądze dawane biedniejszym

od siebie; i wreszcie ramadan, podczas którego nie wolno ani jeść, ani pić od wschodu do zachodu słońca. „Kiedy będziecie większe - mówiła nam Sarnia - również będziecie przestrzegać ramadanu”.

Bardzo lubiłam też plastykę. Kolorowymi kredkami rysowałam gruszki i kwiaty, a także duże domy z niebieskimi dachami, zielonymi okiennicami i czerwonymi kominami. Przed bramą wejściową z kutego żelaza umieszczałam często strażnika w mundurze. Myślałam, że strażnicy chronią posiadłości bogatych ludzi. W ogrodzie dodawałam drzewa owocowe, a wśród nich małą fontannę.

Podczas przerw bawiliśmy się w chowanego i recytowałyśmy wyliczanki. Uwielbiałam szkołę. Było to moje schronienie i czułam się tam szczęśliwa.

Musiałam też zrezygnować z wizyt u mieszkających kilka kroków od nas sąsiadów. Mieli tranzystor. Wraz z młodszą siostrą Haifą biegałam do nich, by słuchać nagrań Haify Wehbe i Nancy Ajram, dwóch pięknych libańskich piosenek z długimi włosami i mocnym makijażem. Podziwialiśmy ich wspaniałe oczy i idealne nosy. Próbowaliśmy je naśladować, trzepocząc rzęsami i kołysząc biodrami. Podobała się nam również jemeńska piosenkarka Dżamila Saad. Prawdziwa gwiazda! „Jesteś taki z siebie dumny... Uważasz się za najlepszego” - tak brzmiały słowa jednej z jej piosenek o miłości.

Nasi sąsiedzi jako jedni z nielicznych w dzielnicy mieli telewizor. Dzięki telewizji odbywałam podróże w wyobraźni. Uwielbiałam oglądać mój ulubiony film rysunkowy, *Tom i Jerry*,

a także kreskówkę *Adnan i Lina*, opowiadającą o przygodach dwojga przyjaciół z dalekiego kraju. Jej bohaterowie mieli skosne oczy. Myślę, że byli Japończykami lub Chińczykami. Ale - co budziło moje największe zdumienie - mówili po arabsku tak samo jak ja, bez żadnego obcego akcentu! Odważny Adnan zawsze chciał pomagać Linie. Kilka razy uratował ją z rąk niedobrych ludzi, którzy zamierzali ją porwać. Ależ miała szczęście! Bardzo jej zazdrościłam.

Adnan przypominał mi Ajmana, chłopca z Al-Ka'a, którego nigdy nie zapomnę. Pewnego dnia szliśmy z przyjaciółkami ulicą, gdy nagle zagroził nam drogę łobuziak z naszej okolicy. Zaczął nas straszyć, mówiąc brzydkie rzeczy, przeklinając. Gdy zobaczył nasze przestraszone miny, zaśmiał się głupkowato. I wtedy nieoczekiwanie pojawił się Ajman.

- Zabieraj się stąd albo obrzucę cię kamieniami - warknął groźnie.

Przerażony chłopiec uciekł. Co za ulga! Wtedy po raz pierwszy i ostatni ktoś wziął mnie w obronę. Ajman urósł w mojej wyobraźni do rangi bohatera. Mówiłam sobie, że kiedy będę duża, moim mężem zostanie być może ktoś taki jak on.

- Ajajaj!

Kuzynki zaczęły głośno klaskać, gdy tylko się ukazałam. Ja zaś ledwie rozróżniałam ich twarze - miałam oczy pełne łez. Przesuwałam się powoli do przodu, starając się nie potknąć w zbyt dużej, ciągnącej się po ziemi szacie. Ubrano mnie naprędce w długą, czekoladową, mocno już spraną tunikę, która

należała do mojej przyszłej szwagierki. Jedna z krewnych ułożyła mi włosy w kok, który ciążył mi na głowie. Moich rzęs nie zdołała nawet kropla tuszu. Napotykając swoje odbicie w lustrze, szybko przyjrzałam się pucołowatym policzkom, brązowym oczom w kształcie migdałów, gładkiemu czołu i różowym wargom. I choć wpatrywałam się w swoją twarz, nie mogłam dostrzec ani jednej zmarszczki. Byłam młoda, zbyt młoda...

Upłynęły zaledwie dwa tygodnie od decyzji o moim małżeństwie. Zgodnie z miejscowym zwyczajem w uroczystości, zorganizowanej w małym mieszkaniu moich rodziców, uczestniczyły same kobiety. Stłoczyło się ich tu około czterdziestu. W tym samym czasie mężczyźni zebrali się u jednego z moich wujów, żeby po raz kolejny żuć czuwaliczkę. W męskim gronie, przy zamkniętych drzwiach, podpisano też poprzedniego dnia umowę małżeńską. Wszystko odbyło się beze mnie. Ania, ani moja matka, ani siostry nie miałyśmy prawa o niczym wiedzieć. Młodszy bracia, których wysłano na ulicę, by wyzebrali trochę pieniędzy na jedzenie dla Aby, mojego wuja, mojego przyszłego męża, jego ojca i brata, podzielili się z nami późnym popołudniem kilkoma szczegółami. Spotkanie przebiegło zgodnie z odwiecznym plemiennym ceremoniałem. Szwagier mojego ojca, który jako jedyny umiał czytać i pisać, pełnił funkcję notariusza. I to on spisał treść umowy. Ustalono w niej, że zapłata* wyniesie 150 000 riali**.

* Zapłata małżeńska ma w Jemenie duże znaczenie społeczne i gospodarcze. Jej wysokość jest przedmiotem negocjacji - przypominających targowanie się - między mężczyznami z obu rodzin.

** Około 900 złotych.

— Nie bój się - usłyszałam po zmroku, jak ojciec szepcze do matki. - Kazaliśmy mu obiecać, że dotknie Nadzud dopiero rok po jej pierwszej miesiączce.

Przeszedł mnie dreszcz.

Uroczystość, która rozpoczęła się w południe, była bardzo skromna. Bez białej sukni. Bez kwiatów namalowanych henną na dłoniach. Bez moich ulubionych cukierków kokosowych, których słodycz nieodmiennie kojarzy mi się ze szczęśliwymi chwilami. Miałam wrażenie, że czas ciągnie się w nieskończoność. Siedziałam w kącie pokoju i powoli zaczynało do mnie docierać, że całe moje życie się zmienia. I to wcale nie na lepsze. Nie chciałam tańczyć z kobietami. Najmłodsze z nich odsłoniły pępki i zaimprovizowały taniec brzucha, kołysząc ciałami jak w cikliwym wideoklipie. Starsze, trzymając się za ręce, wykonywały bardziej tradycyjne tańce, dobrze znane na wsi. Gdy muzyka na chwilę ucichła, przyszły mnie przywitać. Uściskałam je, okazując należyty szacunek. Jednak nawet nie próbowałam udawać, że się uśmiecham.

Byłam obojętna, z twarzą napuchniętą od zbyt długiego płaczu. Nie chciałam opuszczać rodziny. Nie czułam się jeszcze gotowa. Strasznie brakowało mi szkoły. A jeszcze bardziej Malak. Napotykając podczas uroczystości ślubnej smutne spojrzenie Haify, mojej młodszej siostry, zaczęłam sobie uświadamiać, że za nią również będę tęsknić. I nagle ogarnął mnie lęk i zadałam sobie pytanie: „A jeśli ją również czeka podobny los?”

Po zmroku zaproszone kobiety się pożegnały, a ja zdrzemnąłam się w ubraniu, mając przy boku Haifę. Nieco później, gdy już posprzątała w salonie, dołączyła do nas mama. Kiedy ojciec wrócił ze spotkania w męskim gronie, wszystkie już spałyśmy. Podczas ostatniej nocy w rodzinnym domu nic mi się nie śniło. Nie pamiętam też, żeby coś przerwało mi sen. Przed zaśnięciem pomyślałam, że może gdy obudzę się następnego ranka, wszystko okaże się tylko sennym koszmarem.

Kiedy około szóstej światło słoneczne zalało pokój, Omma obudziła mnie i poleciła, żebym poszła za nią. Jak każdego dnia padłyśmy na twarz przed Bogiem, odmawiając pierwszą poranną modlitwę. Następnie mama podała mi miskę *ful*, fasoli z cebulą w sosie pomidorowym. Jadamy to zwykle na śniadanie, popijając filiżanką szaju, herbaty z mlekiem. Niewielka walizka czekała już na mnie przed domem, ale udawałam, że jej nie widzę. Gdy jednak usłyszałam klakson, musiałam pogodzić się z tym, że rozpocznam nowe, pełne niepewności życie. Omma mocno mnie przytuliła, po czym pomogła mi włożyć czarny płaszcz i chustę tej samej barwy. Wcześniej, gdy wychodziłam poza dom, wystarczył tylko niewielki kolorowy szal. Niekiedy nawet o nim zapomniałam, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Teraz zaś zobaczyłam, jak Omma wsuwa rękę do walizki i podaje mi czarny nikab. Nigdy dotąd nie musiałam całkowicie się zasłaniać.

— Od dziś powinnaś się zakrywać, wychodząc na ulicę. Jesteś już mężatką. Od tej pory twoją twarz może oglądać wyłącznie mąż. W grę wchodzi jego *szaraf* *, Nie możesz go splamić.

* Po arabsku., honor".

Przytaknęłam ze smutkiem i pożegnałam się z mamą. Miałam do niej żal, że mnie nie zatrzymuje, ale nie znajdowałam słów, by wyrazić swoje cierpienie.

Niewysoki mężczyzna siedzący na tylnym siedzeniu samochodu terenowego, który stał przed domem, przyglądał mi się bardzo uważnie. Był ubrany w długą, białą tunikę, tak jak Aba. Miał krótko obcięte, niesforne, lekko kręcone włosy, brązowe oczy, wąsy, ślady zarostu na twarzy i ręce pobrudzone smarem. Nie wydał mi się przystojny. A zatem to on, Faez Ali Samer, nieznajomy, który postanowił się ze mną ożenić. Być może natknęłam się już na niego w Chardzi podczas jednej z wizyt w ostatnich latach, ale nie zapadł mi w pamięć.

Kazano mi usiąść na siedzeniu tuż za kierowcą, obok pozostałych czterech pasażerek. W jednej z nich rozpoznałam swoją szwagierkę. Kobiety uśmiechały się nieszczerze i niewiele się odzywały. Mój mąż zajął miejsce za nami, obok swojego brata. Ucieszyłam się, że nie muszę na niego patrzeć przez całą podróż. Czułam jednak na sobie jego wzrok i co chwilę przechodził mnie dreszcz. Jaki jest ten mężczyzna? Dlaczego chciał mnie poślubić? Czego ode mnie oczekiwał? Na czym tak naprawdę polega małżeństwo? Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Gdy kierowca włączył silnik i samochód ruszył, znów nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Serce biło mi bardzo mocno. Z nosem przyklejonym do szyby nie spuszczałam wzroku z Ommy aż do chwili, gdy stała się już tylko maleńkim punkcikiem, który ostatecznie zniknął w oddali...

Milczałam przez całą podróż. Zatopiona w myślach, miałam w głowie tylko jedno: znaleźć sposób, by wrócić do domu. Uciec! Im bardziej jednak samochód oddalał się od Sany, kierując się na północ, tym wyraźniej zdawałam sobie sprawę z tego, że wszelkie moje próby są skazane na niepowodzenie. Ileż razy chciałam zrzucić czarny nikab, pod którym się dusiłam! Czulałam się mała, zbyt mała, by poradzić sobie z tym wszystkim. Z chustą, daleką podróżą bez rodziców, nowym życiem u boku nieznanego mężczyzny, który budził moją niechęć.

Nagle samochód się zatrzymał.

- Otworzyć bagażnik!

Głos żołnierza wyrwał mnie ze snu. Zmęczona długim płaczem, w końcu usnęłam. Gwałtownie zbudzona, przypomniałam sobie szybko, że na drodze wiodącej na północ kraju rozstawiono wiele posterunków kontrolnych. Ten był po prostu pierwszym z nich. Podobno to z powodu walk ciągle jeszcze toczących się między armią a rebeliantami Huthi*. Mój ojciec mówi, że są oni szyitami, a większość Jemeńczyków - sunnitami. Na czym polega różnica? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jestem muzułmanką i odmawiam modlitwę pięć razy dziennie.

Obrzuciwszy wewnątrz samochodu szybkim spojrzeniem, żołnierz dał znak, żebyśmy jechali dalej. Jaka szkoda, że nie mogłam skorzystać z okazji i poprosić go o pomoc! Czyż

* W latach 2004-2008 na północy Jemenu, w rejonie miasta Sada, trwał krwawy konflikt między wojskami rządowymi a rebeliantami Huthi. Buntownicy wywodzili się z mniejszości zajdyckiej, ugrupowania religijnego zaliczanego do szyitów (większość Jemeńczyków stanowią sunnici). Żądania Huthi mają charakter religijny, a także społeczno-polityczny.

w zielonym mundurze i z bronią na ramieniu nie miał zapewnić nam bezpieczeństwa? Gdybym się tylko ośmieliła mu powiedzieć, że nie chcę opuszczać Sany, nie znam już nikogo w wiosce i boję się, że będę się tam nudzić...

Po pewnym czasie przyzwyczaiałam się w końcu do życia w stolicy. Lubiłam wznoszone tam budynki, szerokie aleje, wielkie reklamy telefonów komórkowych i oranżady, która szczypie w podniebienie. Przestałam zwracać uwagę na spaliny i ciągle korki. Najbardziej jednak miało mi brakować najstarszej dzielnicy, zwanej Bab al-Jemen, czyli „brama Jemenu”. To prawdziwe miasto w mieście, magiczne miejsce, po którym uwielbiałam spacerować, trzymając za rękę Monę lub Dżamilę. Wyobrażałam sobie wówczas, że jestem wielbicielką przygód, która zwiedza nieznane krainy. Zupełnie inny świat, domy z gliny z biało obrysowanymi oknami. Te charakterystyczne motywy ozdobne były bardzo delikatne - hinduscy architekci musieli przebywać tu bardzo dawno temu, na długo przed moim urodzeniem. Zakątek ten jest tak niezwykle, że na własny użytek wymyśliłam historię o królu i królowej, którzy przeżyli tu szczęśliwe chwile. Być może należało do nich całe stare miasto?

Gdy zapuszczałyśmy się do Bab al-Jemen, od pierwszej chwili uderzał nas wszechobecny hałas: okrzyki handlarzy mieszały się z dźwiękami dobiegającymi ze starych tranzystorów i błagalnym zawodzeniem bosonogich żebraków. Zdarzało się, że za zakretem wąskiej uliczki łapał mnie nagle za nogę młody czyścibut i proponował swoje usługi. Ponad tę gęstwinę dźwięków wybiła się nieoczekiwanie głos muezina wzywającego do modlitwy.

Lubiłam też wdychać zapachy kminu, cynamonu, goździków, orzechów i rodzynek, dolatujące z kramów. Czasami stawałam na palcach, by lepiej widzieć towary wyłożone wysoko na straganach, które ciągnęły się tak daleko, jak tylko mogłam sięgnąć wzrokiem. Można tu było znaleźć niemal wszystko: srebrne dzambije, hartowane szale, dywany, ciastka ociekające tłuszczem i miodem, hennę i sukienki dla dziewczynek w moim wieku.

Czasem mijałyśmy tu niekiedy kobiety w długich, kolorowych sitrach*. Nazywałam je żartobliwie „damami ze starego miasta”, gdyż ich stroje w radosnych barwach różniły się bardzo od czarnych chust i szat noszonych zwykle przez Jemenki na ulicy. Kobiety te wyglądały, jakby pochodziły z zupełnie innej epoki**.

Pewnego popołudnia, gdy towarzyszyłam ciotce w zakupach, zgubiłam się wśród gęstego tłumu. Pochłonęło mnie to niemal nierzeczywiste otoczenie, które tak lubiłam obserwować. Próbowalam odnaleźć ciotkę. Bardzo szybko zauważyłam jednak, że wszystkie uliczki są do siebie podobne. Skręcić w prawo? A może jednak w lewo? Zdezorientowana, przykucnęłam i zaczęłam płakać. Naprawdę zabłądziłam. Już nigdy nie wrócić do domu. Dopiero po dwóch godzinach zauważył mnie jeden ze sprzedawców, który znał moją ciotkę.

Ta zaś krzyknęła, chwytając mnie mocno za rękę:

- Nadzud, kiedy wreszcie dorośniesz i przestaniesz być taka roztrzępana?

* Po arabsku „zasłony”.

** Mieszkanki Sany zaczęły nosić czarne zasłony prawdopodobnie w czasach imperium osmańskiego - którego wpływy sięgały przez pewien czas Jemenu - gdy na północy kraju władzę objął imam Jahja.

Tego smutnego ranka, nazajutrz po ślubie, siedząc w niewygodnym samochodzie, znów czułam się zagubiona. Tym razem jednak otaczający mnie świat był jak najbardziej prawdziwy. Koniec z magią przypraw i życzliwymi sprzedawcami, którzy częstowali dzieci ciepłymi racuchami. Moje życie obierało zupełnie nowy kierunek, wkraczałam w świat dorosłych, w którym nie było już miejsca na marzenia, twarze były zacięte i nikt się chyba o mnie nie troszczył.

Gdy już oddaliliśmy się od Sany, autostrada przybrała postać długiej, czarnej wstążki, wijącej się po górach i dolinach. Na każdym zakręcie chwyciłam się mocno oparcia siedzenia. Mój żołądek się buntował. Kilkakrotnie musiałam się mocno uszczypnąć, żeby opanować mdłości. Wołałabym umrzeć, niż poprosić męża, by samochód zatrzymał się na poboczu, gdzie mogłabym zaczerpnąć świeżego powietrza. Aby przetrwać do końca podróży, przez cały czas przelatywałam ślinę i starałam się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Chcąc zapomnieć o najbliższym otoczeniu, postanowiłam zająć się zabawą, która polegała na obserwowaniu najdrobniejszych szczegółów krajobrazu. Oglądałam stare zrujnowane twierdze, sterzące na szczytach wzniesień, niewielkie brązowe domy z białymi ornamentami, które przypominały mi nieco Bab al-Jemen. Kaktusy na poboczu szosy; gładkie górskie przełęcze i łąki; kozy skubiące trawę; krowy i kobiety, których twarze zasłaniały chusty zawinięte na wysokości ust. Wydawało mi się, że dostrzegłam dwa martwe koty rozjechane przez samochody. Szybko jednak zamknęłam oczy, aby ten obraz nie wrył mi się

w pamięć. Kiedy je znów otworzyłam, jechaliśmy wśród łąnów czuwaliczki. Po obu stronach drogi uprawy ciągnęły się aż po horyzont. Cóż za wspaniały widok! I jaka świeża zieleń!

- Ta roślina to prawdziwy dramat... Potrzebuje tyle wody, że w końcu wszyscy umrzemy w tym kraju z pragnienia*! — wykrzyknął kierowca.

Pomyślałam, że życie jest dziwne. Nawet ładne rzeczy mogą robić krzywdę. Nie tylko niedobrzy ludzie sięją zło... Trudno to zrozumieć...

Nieco później po prawej stronie rozpoznałam zabudowania Kawkaban, wykute w skale niemal u szczytu wzgórza. Przypomniałam sobie, że kiedyś przejeżdżałam tędy z rodzicami, w drodze do innej wioski na uroczystości związane z Id al-Fitr. Mówi się, że tutejsze kobiety są piękne i szczupłe, gdyż każdego ranka muszą zejść ze wzniesienia, by pracować w polu. Godzina marszu w dół. Godzina marszu w górę. Toż to prawdziwy sport! I jaki wysiłek! Godzina marszu w dół. Godzina marszu w górę... Godzina marszu w dół. Godzina marszu w górę...

Obudził mnie warkot silnika. Przestraszyłam się. Jak długo spałam? Ile kilometrów przejechaliśmy? Nie wiedziałam.

- Raz... dwa... iii trzy!

Kilku mężczyzn ze wszystkich sił pchało nasz samochód, który zakopał się w ziemi. Przez chmurę kurzu wzniesionego przez boksujące koła próbowałam odczytać na tabliczce nazwę wsi, do której dotarliśmy. Ardzum. Wszystko wskazywało na to,

* Niemal dwie trzecie zapasów wody wykorzystuje się obecnie w Jemenie do nawadniania upraw czuwaliczki.

że opuściliśmy już główną drogę, by posuwać się naprzód kamiennym i wyboistym szlakiem, ciągnącym się wzdłuż koryta potoku w głąb doliny. I samochód utknął na dobre.

- Lepiej zawróćcie! Nigdy nie zdołacie tędy przejechać, później będzie jeszcze gorzej - rzucił jeden z wieśniaków, którego twarz była spowita biało-czerwona tkaniną, owiniętą wokół głowy.

- Musimy dotrzeć do Chardzi! - odparł nasz kierowca.

- Tym samochodem? Chyba żartujesz!

- Co więc radzisz zrobić?

- Przesiądźcie się na osły!

- Na osły?! Są z nami kobiety. To może się okazać zbyt męczące...

- Najlepiej byłoby wynająć jednego z naszych ludzi. Często pokonuje tę trasę tam i z powrotem, wożąc turystów. I ma odpowiednie opony. Wymienia je co dwa miesiące - ta droga jest bardzo zła.

Zapadła decyzja o przesiadce do innego samochodu. Podczas gdy dorośli zajmowali się przenoszeniem bagaży z jednego pojazdu do drugiego, skorzystałam z kilku minut przerwy w podróży, by rozprostować nogi. Wzięłam głęboki oddech, starając się wciągnąć do płuc jak najwięcej świeżego górskiego powietrza. Spociłam się wcześniej tak bardzo, że brązowa sukienka, którą nadal miałam pod czarną zasłoną, przykleiła mi się do skóry. Uniosłam jej fałdy lekko do góry, by zbliżyć się do potoku. Wadi Laa! Daleko, bardzo daleko, w dole rozpoznałam Wadi Laa, dolinę, w której leżała moja wioska. Nic się nie zmieniła! A przecież opuściliśmy ją, gdy byłam

bardzo mała. Czyżby powróciły wspomnienia z dzieciństwa, odnowione dzięki kilku niedawnym pobytom w tej okolicy wraz z rodzicami? Może pomogły pożółkłe zdjęcia ze starego albumu, które Aba oglądał od czasu do czasu, próbując powstrzymać łzy? Przypomniałam sobie dziadka. Bardzo kochałam mojego Dżada. Gdy zmarł przed rokiem, długo nie mogłam przestać płakać. Nosił biały turban, starannie owinięty wokół głowy. Miał cienką, siwiejącą brodę, silnie kontrastującą z krzaczastymi, ciemnobrązowymi brwiami. Niekiedy brał mnie na kolana i udawał, że chce zrzucić, by w ostatniej chwili zawsze złapać. Czułam się bezpiecznie w jego ramionach. Myślałam, że nawet gdyby zawalił się cały świat, on byłby blisko, by mnie ocalić. Odszedł zbyt szybko.

- Nadzud! Nadzud!

Odwrociłam się, zastanawiając się, kto mnie woła. Nie był to znajomy głos. Inny, obcy moim uszom. Nie tak jak głos Dżada, który rozpoznałabym z zamkniętymi oczami. Podnosząc głowę, zrozumiałam, że to mój mąż odezwał się do mnie pierwszy raz od wyjazdu z Sany. Niemal na mnie nie patrząc, oznajmił, że już pora jechać. Kiwnęłam głową i skierowałam się ku naszemu nowemu pojazdowi: była to czerwono-biała, zupełnie przerdzewiała toyota pikap. Wskazano mi miejsce na przednim siedzeniu, między moją szwagierką o zasłoniętej twarzy a nowym kierowcą. Mężczyźni usiedli z tyłu, w otwartym nadwoziu, wraz z innymi podróżnymi udającymi się w tym samym kierunku.

- Trzymajcie się mocno, będzie bardzo trzęsło! - uprzedził kierowca.

Przed wyruszeniem w drogę włączył na cały regulator przenośny radiomagnetofon. Z urządzenia równie zardzewiałego jak pikap dochodziła ludowa melodia. Do dźwięków *ud**, towarzyszących głosowi znanego miejscowego pieśniarza Hussaina Moheba, dołączyły wkrótce zgrzyty, kiedy samochód najeżdżał na duże kamienie. Nie trzęśliśmy się, po prostu podskakiwaliśmy na wszystkie strony! Co chwilę kamyki uderzały w szybę. Z rękami zaciśniętymi kurczowo na klamce drzwi, modliłam się, by dotrzeć żywa do wioski.

- Słuchaj muzyki! Dzięki niej zapomnisz o strachu! - krzyknął do mnie kierowca.

Gdyby tylko wiedział, czego tak naprawdę się bałam...

Jechaliśmy wiele godzin, słuchając pieśni Hussaina Moheba. Powinnam policzyć, ile razy kierowca przewinął tę samą kasetę... Wydawał się odurzony muzyką, która musiała dodawać mu odwagi do walki z siłami natury. Uczepiony kierownicy niczym jeździec konia, pokonywał kolejne wiraże, ani na moment nie spuszczać wzroku z krętej drogi. Wydawało się, że zna na pamięć wszystkie czyhające na nas pułapki.

- Przyroda, którą stworzył Bóg, jest trudna do pokonania, ale na szczęście On powołał do życia jeszcze twardszych ludzi - filozofował.

* W dosłownym tłumaczeniu „drewno”. To instrument strunowy, zwany również lutnią arabską.

„No cóż - pomyślałam - jeśli to prawda, Bóg musiał o mnie zapomnieć”.

W miarę jak zagłębialiśmy się w dolinę, coraz bardziej rósł mój niepokój. Skurcz w gardle stawał się coraz większy. Byłam zmęczona, głodna i spragniona. Chciało mi się wymiotować. A przede wszystkim się bałam. Zabrakło mi już pomysłów na zabawy, które pomogłyby zapomnieć o moim nieszczęściu. Im było bliżej Wadi Laa, tym bardziej niepewna wydawała mi się przyszłość. A możliwość ucieczki - całkowicie nierealna.

Chardzi się nie zmieniło. Nadal była to wieś położona na samym końcu świata... Wysiadłam z samochodu. Plecy bolały mnie od licznych wstrząsów. Miałam przed sobą tych samych pięć kamiennych domów i płynącą między nimi niewielką rzekę. Pszczoły fruwały z kwiatka na kwiatek, drzewa ciągnęły się aż po horyzont. Dzieci czerpały wodę ze źródła, napełniając małe żółte kanistry. Na progu jednego z domów czekała na nas kobieta. Szybko się zorientowałam, że nie jest mi życzliwa. Nie przytuliła mnie. Ani jednego pocałunku, ani jednego uścisku. Matka mojego męża. Moja teściowa. Stara i brzydka. Miała pomarszczoną skórę niczym jaszczurka. Brakowało jej dwóch przednich zębów, a pozostałe były zniszczone przez próchnicę i poczerniałe od tytoniu. Jej włosy zasłaniała szaroczarna chustka. Ruchem ręki wskazała mi wejście. Ciemne, niemal nieumeblowane wnętrze składało się z czterech sypialni, salonu i maleńkiej kuchni. Za toaletę służyło ustronne miejsce ukryte za zaroślami.

Zjadłam łapczywie ryż z mięsem, przygotowany przez siostry męża. Wprost umierałam z głodu. Nie miałam nic w ustach od naszego wyjazdu z Sany. Po posiłku dorośli zaczęli żuć czuwaliczkę. Znowu! Dołączyli do nich zaproszeni sąsiedzi. Przykucnąwszy w kącie, przyglądałam się im w milczeniu. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że żadna z obecnych tu osób nie sprawiała wrażenia zaskoczonej moim młodym wiekiem. Dowiedziałam się później, że wydawanie za mąż małych dziewczynek jest na prowincji powszechnym zwyczajem. Dla nikogo tutaj nie byłam więc kimś wyjątkowym. „Jeśli poślubisz dziewięciolatkę, masz zagwarantowane szczęśliwe małżeństwo” - tak brzmi tutejsze powiedzenie.

Dorośli prowadzili ożywioną rozmowę.

- Życie w Sanie stało się nieznośnie drogie - poskarżyła się moja szwagierka.

- Od jutra będę uczyć małą, jak się tu pracuje - oznajmiła moja teściowa, nie wymawiając mojego imienia. - Mam też nadzieję, że przywiozła ze sobą trochę pieniędzy.

- Koniec z dziewczęcymi kaprysami. Pokażemy jej, jak to jest być kobietą, prawdziwą kobietą!

Gdy po zachodzie słońca goście się rozeszli i zaprowadzono mnie do mojego pokoju, poczułam ogromną ulgę. Do dziś to pamiętam. Mogłam wreszcie zdjąć brązową tunikę, którą miałam na sobie od poprzedniego dnia. Zaczynała już brzydko pachnieć. Gdy tylko zamknęłam drzwi, odetchnęłam głęboko i zrzuciłam z siebie ubrania. Włożyłam czerwoną bawełnianą bluzkę, którą zabrałam z Sany. Pachniała domem. Znajomy

zapach stęchlizny wymieszanej z aromatem *ud** nieco mnie uspokoił. Na podłodze leżała długa mata - to było moje łóżko. A obok stała stara lampa olejowa, której płomień rzucał cień na ścianę. Nie zdążyłam jej nawet zgasić, bo po chwili zasnęłam.

Wolałabym nigdy się nie obudzić. Kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, podskoczyłam ze strachu, myśląc, że to silny wiatr. Nie zdążyłam otworzyć oczu, gdy poczułam na sobie owłosione, spocone ciało. Ktoś zgasił już lampę i w pokoju było zupełnie ciemno. Zadrżałam. Mój mąż! Od razu go poznałam po intensywnym odorze papierosów i czuwaliczki. Ależ śmierdział! Jak dzikie zwierzę! Bez słowa zaczął się o mnie ocierać.

- Błagam, proszę mnie zostawić w spokoju! - wyszeptałam, cała drżąca.

- Jesteś moją żoną! Od dziś to ja o wszystkim decyduję. Będziemy spać razem.

W jednej chwili wyskoczyłam z łóżka, gotowa uciekać. Ale dokąd? To bez znaczenia. Musiałam wydostać się z tej pułapki. On również się podniósł. Widziałam w ciemności wąską smugę światła - ktoś zostawił uchylone drzwi. To na pewno blask gwiazd i księżyca. Bez wahania rzuciłam się w stronę podwórza. Pobiegl jednak za mną.

- Na pomoc! Na pomoc! - krzyczałam, nie mogąc powstrzymać łez.

Mój głos odbijał się echem wśród nocy. Żadnej reakcji, jakbym była na pustyni. Biegałam we wszystkich kierunkach

* Żywica drzewa *ud* jest często wykorzystywana w Jemenie do aromatyzowania pomieszczeń. Zazwyczaj pali się ją w niewielkich naczyniach jak kadzidło.

do utraty tchu. Schroniłam się w jakimś pomieszczeniu, ale uciekłam z niego, gdy tylko on mnie *znalazł*. Pędziłam, ani razu nie odwracając głowy. Nagle potknęłam się o coś, chyba kawałek szkła. Gdy próbowałam się podnieść, by biec dalej, chwycił mnie silnymi ramionami. Potem przycisnął mnie do siebie, przeniósł do sypialni i rzucił na matę. Przygwożdżona do ziemi, czułam się jak sparaliżowana.

- *Ammal Amma**! - wzywałam teściową, licząc na odrobinę kobiecej solidarności.

Moje błagania pozostały bez odpowiedzi. Krzyczałam więc dalej:

- Pomocy! Pomocy!

Zdjął swoją białą tunikę. Zwinęłam się w kłębek. Zaczął jednak ciągnąć za moje ubranie, żądając, żebym się rozebrała. Przesuwał chropowate dłonie po moim ciele. Przycisnął wargi do moich ust. Okropnie śmierdział tytoniem i cebulą.

- Proszę odejść. Powiem ojcu! - wyjęczałam, próbując się odsunąć.

- Gadaj sobie, co tylko chcesz. Podpisał umowę. Zgodził się na twoje małżeństwo.

- Tak nie wolno!

- Nadzud, jesteś moją żoną!

- Na pomoc! Na pomoc!

Zaczął się szyderczo śmiać.

- Powtarzam: jesteś teraz moją żoną. Będziesz robić to, co ci każę, jasne?

* Po arabsku „ciotka”.

Poczułam, jakby nagle porwał mnie huragan i miotał mną z ogromną siłą. Jakby uderzył piorun... Nie miałam już siły się bronić. Groźny pomruk grzmotu. Potem jeszcze jeden... I kolejny. Niebo spadło mi na głowę. I ostry ból przeszywający mnie na wskroś. Ból, jakiego nigdy dotychczas nie zaznałam. I choć krzyczałam, nikt nie przyszedł mi z pomocą. Bolało, bardzo bolało... I byłam z tym zupełnie sama.

- Aaaj! - zawylałam, zbierając w sobie resztki sił.

W tej samej chwili straciłam przytomność.

Szada

9 kwietnia 2008 roku

Z telefonem przyklejonym do ucha Szada chodzi tam i z powrotem po holu sądu.

- Musimy zrobić wszystko, by wyrwać Nadżud z rąk męża. Trzeba powiadomić prasę, organizacje kobiece... - Słyszę, jak głośno mówi. Kończy rozmowę i pochyla się ku mnie, przykucając, by znaleźć się na mojej wysokości. - Nic się nie martw, Nadżud, pomogę ci dostać rozwód!

Nikt nigdy nie troszczył się tak o mnie.

Szada jest prawniczką. Podobno bardzo znaną, jedną z najlepszych w Jemenie. Walczy o prawa kobiet*. Szeroko otwartymi oczami patrzę na nią z podziwem. Jest piękna i bardzo miła. Ma dość wysoki głos, mówi szybko, prawdopodobnie dlatego że zawsze się spieszy. Ładnie pachnie, podobnie do kwiatu

* Szada Nasser stała się znana w 1999 roku, gdy broniła Aminy Ali Abdul Latif, zmuszonej do małżeństwa w wieku dziesięciu lat, a następnie oskarżonej o mężobójstwo i skazanej na śmierć. Na skutek bezprecedensowej akcji społecznej karę tę ostatecznie zawieszono w 2005 roku. Po dziesięciu latach spędzonych w więzieniu Amina wyszła na wolność, ale żyje w ukryciu z obawy przed zemstą teściów.

jaśminu. Polubiłam ją od chwili, gdy tylko ją zobaczyłam. W przeciwieństwie do kobiet z mojej rodziny nie zakrywa twarzy nikabem - w Jemenie to rzadkość. Nosi długi płaszcz, czarny i jedwabisty. Na głowę wkłada tylko kolorową chustkę. Ma piękną cerę, a szminka na ustach nadaje jej wygląd eleganckiej damy, zupełnie jak w kinie. Gdy założy okulary przeciwsłoneczne, przypomina gwiazdę filmową. Bardzo się różni od wszystkich zasłoniętych kobiet, które spotyka się na jemeńskich ulicach!

- Ze mną nic ci nie grozi - mówiąc to, gładzi mnie uspokajająco po twarzy.

Szada podeszła, gdy tylko mnie zauważyła. Kiedy opowiedziano jej w sądzie moją historię, była wstrząśnięta. Od razu odwołała wszystkie zaplanowane spotkania. I wymogła na sędzi przyrzeczenie, że zawiadomi ją, gdy tylko się pojawię. Bardzo chciała się ze mną zobaczyć.

- Przepraszam, czy to ty chcesz dostać rozwód? - zapytała, gdy natknęła się na mnie na dziedzińcu sądu.

- Tak - odpowiedziałam.

- Mój Boże! Chodź ze mną, musimy porozmawiać.

W ciągu ostatnich dni bardzo wiele się wydarzyło. Ciągle jeszcze czuję lekki zawrót głowy. Przez cały weekend - w Jemenie to czwartek i piątek - sędzia Abdel Wahed i jego żona otoczyli mnie troską, której się zupełnie nie spodziewałam. Podsuwali mi zabawki i dobre jedzenie, przygotowywali kąpiel w ciepłej wodzie i przytulali przed zaśnięciem. Znowu byłam dzieckiem! W domu pozwalali mi nawet zdjąć zasłonę

zameężnej kobiety, którą moja teściowa kazała mi zawsze poprawiać, gdy tylko zauważyła, że nieco się zsunęła. Jak to dobrze nie bać się uderzeń kijem, nie drzeć na myśl o nocy, nie podskakiwać ze strachu przy każdym odgłosie otwieranych drzwi! Mimo troskliwej opieki spokój jednak nie powrócił. Gdy staram się zasnąć, mam wrażenie, iż huragan jest tuż-tuż i wystarczy, że zamknę oczy na dłużej, a potwór znów się pojawi... Ile strachu, ile cierpienia! Sędzia Abel Wahed mówi, że to normalne. Musi minąć dużo czasu, żebyśmy mogła zapomnieć o wszystkim, co przeszłam.

Powrót do rzeczywistości okazał się trudny. W sobotę rano mój opiekun zaprowadził mnie do sądu. O dziewiątej siedzieliśmy już w jego gabinecie wraz z dwoma innymi sędziami. Abdo i Mohammad al-Ghazi uśmiechnęli się do mnie miło przy powitaniu. Ten ostatni zaczął omawiać moją sprawę.

- Zgodnie z jemeńskim prawem trudno ci będzie złożyć skargę przeciwko ojcu i mężowi.

- Dlaczego?

- To trochę zbyt skomplikowane dla dziecka w twoim wieku.

I niełatwe do wyjaśnienia.

Przedstawił kilka przeszkód. Jak wiele wiejskich dzieci, nie mam ani dokumentu tożsamości, ani nawet aktu urodzenia. I jestem za mała, żeby wszcząć postępowanie rozwodowe... Wszystko to może bez kłopotu zrozumieć tak mądry człowiek jak Mohammad al-Ghazi, ale nie mała dziewczynka. Muszę jednak zauważyć i dobre strony sytuacji. Trafiłam - mówię sobie - na życzliwych, gotowych mi pomóc sędziów. Nie musieli

przecież się mną zająć. Mogli, jak inni, zlekceważyć moją skargę i poradzić, bym wróciła do domu i dalej wypełniała obowiązki żony. Umowa małżeńska została podpisana i jednogłośnie zatwierdzona przez wszystkich mężczyzn z mojej rodziny. Zgodnie z jemeńską tradycją była więc ważna.

- Teraz - kontynuował Mohammad al-Ghazi, zwracając się do kolegów - musimy działać szybko. Sugeruję, żeby umieścić ojca i męża Nadżud w tymczasowym areszcie. Będzie bezpieczniejsza, kiedy znajdą się w więzieniu, niż gdyby pozostali na wolności.

Więzienie! To bardzo surowa kara. Czy Aba mi wybaczy? Ogarnęło mnie nagle poczucie winy. I wstyd. A poza tym przerażenie, gdy poproszono mnie, bym towarzyszyła żołnierzowi, który miał ich zatrzymać - aby łatwiej trafił pod właściwy adres. Rodzina nie widziała mnie przez cały weekend. Musieli pomyśleć, że uciekłam na zawsze, jak mój brat Fares. A poza tym nie chciałam nawet wyobrazić sobie miny mamy, gdy moje młodsze rodzeństwo zaczęło się domagać chleba na śniadanie! Dobrze też wiedziałam, że na krótko przed moją ucieczką ojciec zachorował, zaczął nawet pluć krwią. Czy przetrzyma więzienie? Gdyby umarł, wyrzucałabym to sobie przez całe życie...

Nie miałam jednak wyboru. „Kiedy dobrzy cierpią, należy złych ukarać” - wyjaśnił mi Abdo. Wsiadłam więc z żołnierzem do samochodu. Kiedy dotarliśmy do domu, okazało się, że drzwi są zamknięte na cztery spusty. Poczulałam dziwną ulgę. A kilka godzin później, gdy żołnierz udał się tam powtórnie, nie musiałam już mu towarzyszyć.

Tego samego wieczoru postanowiono umieścić mnie w bezpiecznym miejscu. W Jemenie nie ma specjalnych ośrodków dla takich dziewczynek jak ja. Nie mogłam też bez końca mieszkać u Abdela Waheda, który i tak już wiele dla mnie zrobił.

— Którego wuja najbardziej lubisz? — zapytał jeden z sędziów.

Którego najbardziej lubię? Po długim namyśle wybrałam wuja Szoja, wysokiego i postawnego brata Ommy, dawnego żołnierza jemeńskiej armii, który jest już na emeryturze. Cieszy się w rodzinie dużym szacunkiem. Mieszka z dwiema żonami i siedmiorgiem dzieci w Bajt Boss, dzielnicy dość oddalonej od naszej. Nie sprzeciwił się, co prawda, mojemu małżeństwu, ale wyduje mi się, że jest porządny i nie bije swoich córek.

Nie jest też rozmowny, co bardzo mi odpowiadało. Nie zadał mi zbyt wielu pytań i pozwolił bawić się z kuzynkami. Wieczorem, tuż przed zaśnięciem, podziękowałam Bogu, że wuj nie wypominał mi zuchwalstwa i unikał rozmowy o mojej ucieczce. Zauważyłam, że podobnie jak ja był zakłopotany ostatnimi wydarzeniami.

Kolejne trzy dni wydały mi się długie i monotonne. Większość czasu spędzałam w sądzie, oczekując na cud, niespodziewane rozwiązanie problemu. Niestety, sprawa nie była prosta. Sędziowie obiecali, że zrobią wszystko, by uzyskać dla mnie rozwód, ale potrzebowali czasu. To zabawne, ale zmuszona do codziennego powotu na olbrzymi, zatłoczony dziedziniec, przyzwyczaiłam się w końcu do mrowia ludzi, które początkowo robiło na mnie takie duże wrażenie. Rozpoznawałam już nawet z daleka małych sprzedawców herbaty i soków owocowych.

Chłopiec z wagą był ciągle zajęty ważeniem tych spośród odwiedzających sąd, którzy wydawali się najmniej spieszyć. Zdarzało mi się teraz dodawać mu odwagi uśmiechem. Przy każdym powrocie czułam jednak ciężar na sercu. Ile jeszcze razy będę musiała tu przyjść, by znów stać się dziewczynką podobną do innych ? Abdo mnie uprzedzał: mój przypadek jest wyjątkowy. Co robią sędziowie, gdy mają do czynienia z wyjątkowym przypadkiem? Nie wiedziałam.

Odpowiedzi udzieliła mi Szada, piękna prawniczka w okularach przeciwsłonecznych. Kiedy zaczęła mnie pierwszego ranka, zauważyłam, jak bardzo jest poruszona. Na mój widok wykrzyknęła: „Mój Boże!”. Po czym zerknęła na zegarek, otworzyła kalendarz i całkowicie zmieniła bardzo napięty rozkład zajęć. A następnie zaczęła dzwonić po kolei do bliskich, przyjaciół i kolegów prawników... „Muszę się zająć ważną sprawą, naprawdę bardzo ważną sprawą...”. Słyszałam, jak wielokrotnie powtarza to zdanie. Wykazywała przy tym ogromną cierpliwość. Abdel Wahed ma rację. To bardzo dobra prawniczka. Musi mieć dużą władzę. Poza tym jej telefon komórkowy nie przestawał dzwonić. A wszyscy mijający nas ludzie bardzo uprzejmie ją pozdrawiali.

- Nadzud, jesteś w wieku mojej córki! Zajmę się tobą! - szepnęła mi do ucha.

Zaczynam jej wierzyć. Nie ma powodu kłamać. Dobrze się z nią czuję. Mam wrażenie, że jestem przy niej bezpieczna. Rozmawiając ze mną, umie znaleźć właściwe słowa. Jej śpiewny głos działa uspokajająco. Dodaje mi nieco wiary w życie. Świat

może się rozpaść na drobne kawałki, lecz wiem, że Szada będzie mnie wspierać. Po raz pierwszy ktoś okazuje mi matczyną czułość, którą moja matka, zbyt zajęta rodzinnymi kłopotami, nie umiała - czy raczej nie mogła - mnie obdarzyć.

Nadal jednak coś nie przestaje mnie dręczyć.

- Szada? - mruczę nieśmiało.

- Tak, Nadżud?

- Czy mogę o coś zapytać?

- Oczywiście!

- Czy możesz mi obiecać, że już nigdy nie wrócę do męża?

- *In szaa Allah*, Nadżud. Zrobię wszystko, żeby już nigdy nie mógł zrobić ci krzywdy. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Ale...

- Ale co?

- Musisz być silna, bo to może potrwać...

- Jak długo?

- Na razie nie myśl o tym. Pamiętaj, że najgorsze masz już za sobą. Najtrudniejsza była decyzja o ucieczce. I tyją podjęłaś!

Wzdycham, a Szada uśmiecha się do mnie, gładząc po głowie. Jest taka wysoka, szczupła i ładna.

- A czy ja mogę tobie zadać jedno pytanie? - odzywa się po chwili.

- Tak...

- Skąd wzięłaś odwagę, by uciec i dotrzeć aż do sądu?

- Skąd wzięłam odwagę? Nie mogłam już znieść jego niegodziwości... Po prostu już nie mogłam...

Wielka

W

Chardzi moje życie stało się straszne. Przepelniona wstydem i bólem, cierpiałam w milczeniu. Wszystkie te przykre rzeczy, do których mąż zmuszał mnie dzień w dzień, noc w noc... Komu miałam o nich opowiedzieć? Już pierwszego wieczoru zrozumiałam, że nic nie będzie teraz tak jak dawniej.

- *Mabrukl Mabruk**

Patrząc na moje drobne, nagie ciało, teściowa klepie mnie po twarzy, żebym się obudziła. Pamiętam ten moment, jakby to było wczoraj. Poranne światło zalewa pokój. Z oddali dochodzi pianie koguta. Nieco z boku stoi moja szwagierka, która przyjechała tu wraz ze mną. Ciągle jeszcze ociekam potem. Otwieram szerzej oczy. W sypialni panuje bałagan. Lampa olejowa potoczyła się aż pod drzwi. Moja brązowa sukienka rzucona na podłogę niczym stara ścierka. On leży obok na macie, śpi jak suseł. Co za *wahesz* - co za potwór! A na mocno pogniecionym prześcieradle mała plama krwi...

- *Mabrukl* - powtarza szwagierka.

* Po arabsku „gratulacje”.

Uśmiechając się kącikiem ust, wskazuje na czerwony ślad na pościeli. Milczę. Jestem jak sparaliżowana. Teściowa pochyla się ku mnie i bierze na ręce jak paczkę. Dlaczego nie przyszła wcześniej, kiedy wołałam i potrzebowałam jej pomocy? Teraz jest już za późno... Czy wie, co zrobił mój syn? Wbijając palce między moje żebra, popycha nogą drzwi i wchodzi do łazienki, wąskiego pomieszczenia, w którym dostrzegam tylko miskę i wiadro. Zaczyna polewać mnie wodą. Aj, jaka zimna!

- *Mabrukl* - odzywają się równocześnie obie kobiety.

Ich słowa dudnią w moich zmęczonych uszach. Mam wrażenie, że jestem mała, zupełnie mała. Straciłam kontrolę nad własnym ciałem, nad jego ruchami. Marznę na zewnątrz, a wewnątrz płonę. Czuję się zbrukana. Chce mi się pić. Przepełnia mnie gniew, którego jednak nie umiem wyrazić. Omma, dzieli nas zbyt duża odległość, żebym mogła wezwać cię na pomoc. Aba, dlaczego wydałeś mnie za mąż? Dlaczego spotkało to właśnie mnie? I dlaczego nikt mi nie powiedział, co się wydarzy? Czym sobie na to zasłużyłam?

Chcę wrócić do domu!

Kiedy kilka godzin później mój mąż w końcu się obudził, odwróciłam głowę, by nie napotkać jego spojrzenia. Westchnął głęboko z zadowoleniem, zjadł śniadanie i zniknął na cały dzień. Skulona w kącie, prosiłam wszechpotężnego Boga, by przybył mi na ratunek. Wszystko mnie bolało. Przerazała mnie myśl, że spędzę życie u boku takiego potwora. Wpadłam w pułapkę, z której nigdy już się nie wydostanę...

Musiałam bardzo szybko zastosować się do nowych zasad. Nie miałam prawa wychodzić z domu. Nie miałam prawa pójść po wodę do źródła. Nie miałam prawa się skarżyć. Ani powiedzieć „nie”. O szkole nawet nie miałam co marzyć. A tak bardzo pragnęłam usiąść znów w ławce i słuchać, jak nauczycielka opowiada nowe historie. I podejść do tablicy, by zapisać na niej białą kredą swoje imię.

Chardzi, moja rodzinna wioska, stała mi się obca. W ciągu dnia musiałam w domu wykonywać polecenia teściowej: obierać warzywa, karmić kury, przygotowywać herbatę dla gości, zamiatać podłogę, myć naczynia. Ale choć bezustannie szorowałam poczerńiałe od przypalonego tłuszczu garnki, nie udawało mi się ich doczyścić. Ścierki poszarzały i zaczęły śmierdzieć. Wokół mnie rojło się od much. Gdy chciałam przez chwilę odpocząć, matka męża szarpała mnie za włosy potłuszczonymi rękami. Nie minęło dużo czasu, a zaczęłam się lepić tak jak wszystkie sprzęty w kuchni. Nie mogłam też już doczyścić paznokci.

Pewnego ranka zapytałam, czy mogłabym pójść pobawić się z dziećmi w moim wieku.

- Nie jesteś tu na wakacjach! - usłyszałam.
- Proszę, chociaż kilka minut...
- Nie ma mowy! Zameężna kobieta nie może spotykać się z byle kim. Tego tylko brakuje, żebyś zniszczyła nam reputację. To nie stolica! W Chardzi wszyscy wszystko wiedzą, wszystko widzą i słyszą. W twoim interesie jest więc mieć się na baczności. I nie waż się zapomnieć, co do ciebie mówię. W przeciwnym razie powiem wszystko twojemu mężowi.

Ten zaś wychodził wcześniej każdego ranka i wracał tuż przed zmierzchem. Podawano mu wówczas kolacje na sofrze. Nigdy nie pomagał sprzątać ze stołu. Za każdym razem, gdy słyszałam, że wraca, w moim sercu pojawiał się strach...

Wiedziałam, że gdy zapadnie zmrok, znów się zacznie. Jeszcze raz, a potem kolejny... Ta sama brutalność. Ten sam ból. To samo cierpienie. Odgłos otwieranych drzwi, przewrócona lampa olejowa, pognieciona pościel... „*Ya bintl!*” - „No dalej, mała!” - wołał, zanim się na mnie rzucił.

Nigdy nie wymawiał mojego imienia.

Trzeciego dnia uderzył mnie po raz pierwszy. Nie mogłam znieść, że próbuję stawiać opór. Gdy po zgaszeniu światła broniłam się, kiedy kładł się przy mnie na macie, zaczynał bić. Najpierw rękami. Później kijem. Grzmot, błyskawica, kolejne uderzenie. I słowa zachęty ze strony teściowej.

- Bij ją jeszcze mocniej! Musi cię słuchać! Jest twoją żoną! - powtarzała chrapliwym głosem, gdy się na mnie skarżył.

— *Ya bintl!* - wołał, rzucając się na mnie.

- Nie masz prawa! - szlochałam.

— Mam dość twojego białolenia! Nie po to cię poślubiłem, żeby ciągle słuchać tego popłakiwania! - krzyczał, ukazując duże, żółtawe zęby.

Nie znosiłam, kiedy odzywał się takim tonem. Ośmieszał mnie też publicznie. Okazywał mi pogardę. Żyłam w stałym lęku przed kolejnymi uderzeniami kijem i wymierzanymi policzkami. Zdarzało się nawet, że bił mnie pięścią. Codziennie na moich plecach pojawiały się nowe siniaki. I nowe rany

na rekach. Czułam się zbrukana. Gdy sąsiadki odwiedzały moją teściową, słyszałam, jak szepczą, pokazując mnie palcami. Co też sobie wówczas opowiadały?

Gdy tylko mogłam, chowałam się w kącie, niepewna i zagubiona. Cała drżałam na myśl o nadchodzącej nocy. Byłam samotna, straszliwie samotna. Nie miałam komu się zwierzyć, nie miałam z kim porozmawiać. Nienawidziłam go! Nienawidziłam ich wszystkich! Czy każda dziewczyna, którą wydano za mąż, musi podobnie cierpieć? Czy to tylko mnie tak torturowano? Nie kochałam tego obcego mężczyzny. Ale czy moi rodzice darzyli się miłością? W tamtym czasie zrozumiałam naprawdę znaczenie słowa „okrucieństwo”.

Mijały kolejne dni i noce. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści? Dziś już dobrze nie pamiętam. Wieczorem potrzebowałam coraz więcej czasu, by zasnąć. Nocami, kiedy przychodził robić mi te okropne rzeczy, prawie wcale nie spałam. W ciągu dnia ledwo trzymałam się na nogach z niewyspania. Byłam zagubiona. Rozbita. Bezsilna. Zaczynałam tracić poczucie czasu. Tęskniłam za Saną. Za szkołą. I za rodzeństwem: nieustannymi akrobacjami Abda, wygłupami Morada, żartami Mony, gdy była w dobrym nastroju, wyliczankami małej Rawzy. Coraz częściej myślałam o Haifie, mając nadzieję, że nie wydano jej za mąż. Im dłużej przebywałam w Chardzi, tym bardziej zacierały mi się w pamięci ich twarze. Z coraz większym trudem przypominałam sobie barwę ich skóry, kształt nosa, dołeczki w policzkach. Musiałam choć na chwilę wrócić do domu!

Każdego ranka płakałam, błagając, by pozwolono mi odwiedzić rodziców. Nie mogłam się z nimi skontaktować. We wsi nie było elektryczności, a zatem i telefonów. Nie przelatywały nad nami samoloty, nie dojeżdżały tu autobusy ani samochody. Pozostawały mi listy. Niestety, poza swoim imieniem i kilkoma najprostszymi słowami niewiele więcej potrafiłam napisać. Musiałam więc pojechać do Sany. Za wszelką cenę. Chciałam wrócić do domu!

Ucieczka? Myślałam o niej wielokrotnie. Jak jednak miałabym to zrobić? Nie znałam w wiosce nikogo. Trudno byłoby mi więc znaleźć tam schronienie. Nie mogłam też błagać o ratunek podróżnych na osłach... Chardzi, moja rodzinna wioska, stała się dla mnie więzieniem.

Pewnego dnia mąż, znudzony moim ciągłym płaczem, wyraził zgodę na mój wyjazd do rodziców. Nareszcie! On sam będzie mi towarzyszył w podróży i zaczeka na mnie u swojego brata. Potem - co podkreślił z naciskiem - wrócimy tu razem. W pośpiechu zebrałam swoje rzeczy, bojąc się, że może jeszcze zmienić zdanie.

Podróż upłynęła mi dużo szybciej niż poprzednia. Kiedy jednak zasypiałam na siedząco, we śnie powracały te same koszmarnie obrazy: plama krwi na prześcieradle, pochylona nade mną twarz teściowej, wiadro lodowatej wody... Budziłam się wówczas z przerażeniem... Nie, nigdy już tam nie wrócę! Nigdy nie wrócę! Nigdy nie wrócę! Nigdy! Moja stopa nie postanie już w Chardzi, tej wsi zagubionej na końcu świata!

- Nie ma mowy, żebyś opuściła męża!

Nie spodziewałam się takiej reakcji ojca. Wykluczała możliwość jakiegokolwiek dyskusji. I położyła kres radości ponownego spotkania. Matka nie protestowała. Ograniczyła się do wyszeptania z rękami wzniesionymi ku niebu:

- Takie jest życie, Nadżdud. Wszystkie kobiety muszą przez to przejść. Wszystkie przeżywamy to samo...

Ale dlaczego mi nie powiedziała? Dlaczego mnie nie uprzedziła? Teraz, gdy małżeństwo zostało już zawarte, byłam jak w pułapce, nie mogłam niczego cofnąć. I choć opowiadałam rodzicom o cierpieniach zadawanych mi każdej nocy, biciu, bólu i wszystkich tych strasznych i intymnych sprawach, o których wstydziłam się mówić, powtarzali, że moim obowiązkiem jest pozostać przy mężu.

- Nie kocham go! Robi mi krzywdę! Każe robić okropne rzeczy, które mnie brzydzą. Nie jest dla mnie miły!

- Nadżdud, jesteś mężatką. Musisz zostać z mężem - powtórzył ojciec.

- Nie, nie chcę! Chcę wrócić do domu!

- To niemożliwe!

- Proszę, bardzo was proszę!

- Chodzi o *szaraf*, rozumiesz?

- Ale...

- Słuchaj, co do ciebie mówię!

- Aba, ja...

- Jeśli weźmiesz rozwód, moi bracia i kuzyni mnie zabiją.

Najważniejszy jest *sharaf*, honor. Honor przede wszystkim! Zrozumiałaś?

Nie rozumiałam i nie mogłam zrozumieć. Mąż mnie krzywdził, a moja rodzina, moja własna rodzina brała go w obronę! A wszystko w imię... W imię czego? Honoru? Nie wiedziałam, co dokładnie znaczy to słowo, które ciągle wypowiadali. Czuję, że wali się cały mój świat.

Haifa, patrząca na nas szeroko otwartymi oczami, jeszcze mniej niż ja rozumiała, co mi się przydarzyło. Gdy zaczęłam głośno płakać, wsunęła swoją dłoń w moją. W ten sposób dawała mi znać, że mnie wspiera. Nagle znów przemknęła mi przez głowę straszliwa myśl: a jeśli ją także zamierzają wydać za mąż? Haifę, moją siostrzyczkę, moją małą, śliczną siostrzyczkę... Oby miała szczęście i nigdy nie musiała przeżywać takiego koszmaru.

Mona kilkakrotnie próbowała wziąć mnie w obronę. Jej wysiłki były jednak zbyt nieśmiałe. Ale i tak nikt nie zechciałby jej wysłuchać. Tutaj ostatnie słowo mają zawsze mężczyźni. Biedna Mona! Zrozumiałam, że w tej sprawie mogę liczyć tylko na siebie.

Czas uciekał. Musiałam znaleźć rozwiązanie, zanim przyjdzie po mnie mąż. Zdołałam uzyskać od niego zgodę, żebym pozostała dłużej u rodziców. Nie wiedziałam jednak, co mam robić. „Nadzud musi pozostać przy mężu” - powtarzał ojciec. Gdy się oddalił, spróbowałam porozmawiać z matką. Płakała. Powiedziała, że za mną tęskni. Ale nie może mi pomóc.

Mój strach nie był bezpodstawny. Już drugiego dnia po przyjeździe mąż złożył nam wizytę, by przypomnieć mi o powinnościach żony. Próbowałam stawiać opór. Na próżno. Po długich naleganiach udało się zawrzeć swoisty kompromis. Zgodził się, żebym została jeszcze kilka tygodni w Sanie, ale musiałam

przenieść się z nim na ten czas do jego wuja. Nie ufał mi, bał się, że ucieknę, jeśli zbyt długo będę przebywać u rodziców. I przez ten miesiąc znów przeżywałam piekło...

- Kiedy wreszcie przestaniesz się mazać? Już mnie to męczy!
- poskarżył się pewnego dnia, patrząc na mnie ze wściekłością i grożąc mi pięścią.

- Kiedy pozwolisz mi wrócić do rodziców - odpowiedziałam, chowając twarz w dłoniach.

Mój upór sprawił, że zdecydował się dać mi jeszcze nieco wytchnienia.

- Ale to naprawdę już ostatni raz - uprzedził.

Po powrocie do domu wiedziałam, że muszę działać szybko, jeśli chcę pozbyć się tego mężczyzny i uniknąć kolejnego kosztownego pobytu w Chardzi. Minęło pięć dni. Pięć trudnych dni, podczas których stale napotykałam mur niezrozumienia. Ani mój ojciec, ani bracia, ani wujowie nie byli gotowi mnie wysłuchać.

Szukając kogoś, kto byłby mi przychylny, trafiłam do Douli, drugiej żony mojego ojca. Wraz z pięciorgiem dzieci zajmowała maleńkie mieszkanie na pierwszym piętrze starego budynku położonego na końcu ślepego zaułka tuż obok naszej ulicy. Przerażona tym, że już niedługo zostanę odesłana do Chardzi, wspierałam się po schodach, zaciskając nos palcami, by nie czuć fetoru zgnilizny wymieszanego ze smrodem nieczystości dochodzącym z ustępu przeznaczonego dla wszystkich mieszkańców. Doula, ubrana w długą czarno-czerwoną szatę, z uśmiechem otworzyła mi drzwi.

- *Ya*, Nadzud! Co za miła niespodzianka! Witaj w moich progach! - powiedziała.

Lubiłam Doułę. Miała matową cerę i długie włosy, które spletała w warkocz. Była wysoka i szczupła, ładniejsza niż Omma. I niezwykle cierpliwa. Życie jej nie rozpieszczało. Wydano ją późno - w wieku dwudziestu lat - za mojego ojca, który ją zaniedbywał. Nauczyła się więc liczyć tylko na siebie. Jej najstarszy, ośmioletni syn Jahja był od urodzenia kaleką - nie mógł chodzić. Wymagał stałej, troskliwej opieki, również dlatego że miewał nerwowe ataki trwające nawet kilka godzin. Straszna bieda zmuszała Doułę do żebrania na ulicy. Tylko dzięki temu mogła opłacać czynsz wynoszący 8000 riali* miesięcznie i kupować chleb dla dzieci. Mimo to była niesłychanie szczodra.

Zaprosiła mnie, żebym usiadła na dużym posłaniu ze słomy, zajmującym połowę pomieszczenia. Obok stała mała kuchenka, na której gotowała się woda. Bardzo często najmłodsze dzieci dostawały w butelce ze smoczkiem herbatę zamiast mleka. Plastikowe torby zastępujące spizarnię, zawieszono na hakach wbitych w ścianę, rzadko bywały wypchane.

- Czym się martwisz, Nadzud?

Wiedziałam, że Doula jako jedna z nielicznych w rodzinie sprzeciwiła się mojemu małżeństwu, ale nikt nie chciał jej słuchać. Choć życie rzadko bywało dla niej łaskawe, miała naturalną skłonność do niesienia pomocy biedniejszym od siebie. Czułam, że mogę jej ufać. I wszystko jej powiedzieć.

- Chciałabym z tobą porozmawiać... - zaczęłam.

I opowiedziałam jej o wszystkim.

* Około 125 złotych.

Zmarszczyła, brwi, słuchając mojej opowieści. Wydała się bardzo zmartwiona. Zatopiona w myślach, podeszła do kuchenki. Wlała herbatę do jedynej filiżanki, której nie zdążył jeszcze zbić Jahja. Podała mi ją, podchodząc tak blisko, że mogła mi spojrzeć prosto w oczy.

- Nadzud... - wyszeptała. - Jeśli nikt nie chce cię wysłuchać, nie pozostaje ci nic innego, jak udać się do sądu.

- Gdzie?

- Do sądu!

Do sądu? Do sądu? No tak, do sądu! W jednej chwili pojawiły się w mojej głowie obrazy: sędziowie w turbanach, zawsze spieszący się adwokaci, mężczyźni w białych tunikach i kobiety o zasłoniętych twarzach, wnoszący skargi w bardzo skomplikowanych sprawach dotyczących rodziny, kradzieży lub spadku. Przypomniałam sobie sąd, który widziałam w telewizji. Wraz z Haifą oglądałyśmy u sąsiadów serial, w którym aktorzy mówili po arabsku inaczej niż w Jemenie. Sądząc po akcencie, musiał to być film kuwejcki. Przez dużą salę o białych ścianach prze-wijały się kolejne osoby. Naprzeciwko sędziego znajdowało się kilka rzędów drewnianych ławek. W pewnym momencie pojawili się przestępcy, których przywieziono furgonetką z zakratowanymi oknami.

- Sąd... - powtórzyła Doula. - Moim zdaniem to jedyne miejsce, w którym ktoś cię wysłucha. Powiedz, że chcesz się zobaczyć z sędzią. W końcu to przedstawiciel rządu. Ma dużą władzę. Jest opiekunem nas wszystkich. Jego zadaniem jest niesienie pomocy pokrzywdzonym.

Doula mnie przekonała. Od tej chwili wszystko zaczęło się układać w mojej głowie. Jeśli rodzice nie chcą mi pomóc, no cóż, muszę radzić sobie sama. To postanowione. Byłam gotowa pokonać każdą przeszkodę, byle tylko nie znaleźć się znów na macie obok tego potwora. Podziękowałam Douli i mocno ją uściskałam.

- Nadzud?

- Tak?

- Weź to. Może ci się przydać.

Wsunęła mi do ręki 200 riali*. Wszystkie drobne, które zdołała zebrać tego ranka, zebrząc na skrzyżowaniu niedaleko domu.

- Dziękuję, Doula, bardzo dziękuję.

Następnego dnia obudziłam się w lepszym niż zazwyczaj nastroju. Sama się temu dziwiłam. Jak co rano umyłam twarz. Odmówiłam modlitwę. Rozpaliłam w piecyku, by zagotować wodę na herbatę. Przebierając nerwowo palcami, czekałam niecierpliwie, aż wstanie matka. „Nadzud - mówił mój wewnętrzny głos - postaraj się zachowywać naturalnie, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń”.

Kiedy Omma w końcu się obudziła i po dłuższej chwili zaczęła rozsypywać węzeł na czarnej chuście, w której chowała zwykle drobne monety, stwierdziłam z ulgą, że mój plan ma pewne szanse powodzenia. Gdyby tylko mama wiedziała...

- Nadzud - zwróciła się do mnie, podając 150 riali - idź po chleb na śniadanie.

* Około 3 złotych.

- Dobrze - odpowiedziałam posłusznie.

Wzięłam pieniądze. Włożyłam płaszcz i czarną chustę, strój odpowiedni dla mężatki. Starannie zamknęłam za sobą drzwi. Uliczki w pobliżu domu nie były jeszcze zatłoczone. Skręciłam w pierwszą w prawo, kierując się ku najbliższej piekarni. Lubiłam ich chrupiący chleb, świeżo wyjęty z tradycyjnego pieca. Nadstawiając uszu, rozpoznałam dochodzący z oddali głos sprzedawcy butli gazowych, który codziennie objeżdża dzielnicę na rowerze, ciągnąc za sobą przyczepkę.

Zbliżałam się do piekarni. Czułam już przyjemny zapach ciepłych placków chlebowych *chubz*. Dostrzegałam też sylwetki kobiet z okolicy, stojących w kolejce przed piecem *tannur*. W ostatniej chwili zmieniłam kierunek i udałam się w stronę głównej ulicy naszej dzielnicy. „Sąd - powiedziała Doula. - Musisz iść do sądu”.

Gdy dotarłam do szerokiej alei, nagle się przestraszyłam, że mogę spotkać kogoś znajomego. Co się stanie, jeśli będzie tędy przechodził któryś z moich wujów? Cała się w środku trzęsłam. Mając nadzieję, że osłonię się w ten sposób przed niepożądanymi spojrzeniami, podciągnęłam poły chusty, aby widać było tylko moje oczy. Choć raz *nikab*, którego nie chciałam włożyć od powrotu z Chardzi, okazał się bardzo użyteczny. Starałam się nie odwracać, bojąc się, że ktoś może za mną iść. Wzdłuż chodnika stały na przystanku autobusy. Przed sklepem kolonialnym zauważyłam biało-żółty, sześciuosobowy mikrobus, który codziennie dowoził mieszkańców dzielnicy do centrum miasta, niedaleko placu Tahrir. „No już, jeśli chcesz się rozwieść,

nie możesz się mazgaić" - dodawał mi odwagi mój wewnętrzny głos. Tak jak wszyscy zajęłam miejsce w ogonku. Inne dzieci w moim wieku podróżowały z rodzicami. Byłam jedyną małą dziewczynką, która czekała na swoją kolej zupełnie sama. Spuściłam wzrok, by nikt nie próbował zadawać mi pytań. Miałam wrażenie, że wszyscy mnie obserwują. Bałam się, że ktoś się domyśli, co zamierzam zrobić. Nie mogłam pozbyć się przekonania, że można to zobaczyć w moich oczach.

Kierowca minibusu podniósł się z siedzenia, żeby otworzyć rozsuwane drzwi. Tłum czekających rzucił się naprzód, kilka kobiet rozpychało się łokciami, starając się zająć miejsca. Ruszyłam za nimi, mając tylko jedno pragnienie: jak najszybciej opuścić dzielnicę, zanim rodzice powiadomią policję o moim zniknięciu. Usiadłam w głębi, na ostatnim siedzeniu, między dwiema korpulentnymi kobietami - starszą i nieco młodszą - zasłoniętymi od stóp do głów. Wciśnięta między ich obfite ciała, pozostawałam niewidoczna dla osób przechodzących ulicą. Starłam się jak najmniej rzucać w oczy. Na szczęście moje sąsiadki zupełnie nie były mną zainteresowane.

Gdy zawarczał silnik, poczułam, że serce bije mi o wiele szybciej. Pomyślałam nagle o moim bracie Faresie, o odwadze, którą się wykazał, uciekając z domu cztery lata wcześniej. Jemu się udało. Dlaczego ze mną miałoby być inaczej? Ale czy naprawdę wiedziałam, co zamierzam zrobić? Co powiedziałby ojciec, gdyby zobaczył swoją córkę w minibusie? Czy właśnie plamiłam jego honor, jak często mówił?

Drzwi się zamknęły. Już za późno na zmianę decyzji. Oglądałam przez okno miasto: samochody tłoczące się w porannych

korkach, wznoszone budynki, kobiety w czarnych zasłonach, ulicznych sprzedawców z naręczami jaśminu, opakowaniami gumy do żucia i chusteczek higienicznych. Sana wydała mi się duża i pełna ludzi. Mając do wyboru pokryty pyłem labirynt uliczek stolicy i opustoszałe Chardzi, po stokroć wolałam to pierwsze!

- Koniec trasy! - zawołał głośno kierowca.

A więc jesteśmy na miejscu. Gdy tylko drzwi zaczęły się rozsuwać, do minibusu wdarł się uliczny hałas. Pasażerki wysiadały w pośpiechu. Ruszyłam za nimi, drżącą ręką podając kierowcy kilka monet za kurs. Nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się sąd. Nie odważyłam się zapytać o to nikogo w minibusie. Ogarniał mnie coraz większy niepokój, wprost paraliżował strach. Bałam się, że się zgubię. Rozglądałam się na prawo i lewo. Na skrzyżowaniu, na którym zepsuła się sygnalizacja świetlna, policjant próbował utrzymać porządek. Wściekle trąbiące samochody nadjeżdżały ze wszystkich stron, starając się wyprzedzać jeden drugiego. Zmrużyłam oczy, oślepiona rażącymi promieniami słońca, świecącego na błękitnym niebie. Nie dam rady przejść przez ulicę, nie wyszłabym z tego żywa. Gdy tak stałam, niemal przyklejona do słupa, usiłując zebrać siły, mój wzrok padł na żółty samochód. Byłam uratowana!

Niedaleko stała jedna z wielu taksówek, które przemierzają miasto przez całą dobę. W Jemenie, gdy tylko chłopiec zaczyna sięgać nogą do pedału gazu, ojciec kupuje mu prawo jazdy, w nadziei, że syn znajdzie zatrudnienie jako kierowca i pomoże wyżywić rodzinę. Korzystałyśmy już z usług takich szoferów, gdy wybierałyśmy się z Moną do Bab al-Jemen.

Pomyślałam, że taksówkarz na pewno zna na pamięć wszystkie ważne adresy w Sanie. Podniosłam rękę, by go przywołać. Młoda dziewczyna nie powinna podróżować sama taksówką. W sytuacji, w której się znalazłam, nie dbałam jednak o to, co ktoś sobie pomyśli.

- Chcę jechać do sądu - rzuciłam kierowcy, który patrzył na mnie zdziwiony.

Usiadłam na tylnym siedzeniu i milczałam przez całą drogę. Taksówkarz, żując zapamiętałe czuwaliczkę, nawet się nie domyślał, jak bardzo byłam mu wdzięczna, że nie zadaje mi żadnych pytań. Nie wiedząc o tym, stał się cichym współnikiem mojej ucieczki. Z prawą ręką przyciśniętą do brzucha i przykniętymi powiekami starałam się panować nad oddechem.

- Już jesteśmy!

Samochód gwałtownie zahamował i zatrzymał się przed bramą, za którą dostrzegłam dziedziniec prowadzący do okazałej budowli. A więc to jest sąd! Policjant pilnujący porządku dał taksówkarzowi znak, by jak najszybciej odjechał, gdyż blokował wjazd. Pospiesznie wysiadłam, oddając kierowcy wszystkie drobne. Byłam oszołomiona i przerażona, to prawda, ale także odważna i zdecydowana. Jeśli Bóg zechce, moje życie całkowicie się zmieni.

Roxwóó

15 kwietnia 2008 roku

Mój wielki dzień nadszedł szybciej, niż przypuszcza-
łam. Ale tłum! Sala sądowa wprost pęka w szwach.
Robi to duże wrażenie. Czy naprawdę ci wszyscy ludzie, tłó-
czący się w ławkach naprzeciw stołu sędziowskiego, przyszli
tu z mojego powodu? Szada mnie uprzedzała, że przygoto-
wania mogą zabrać sporo czasu. Jej działania odniosły jednak
zamierzony skutek. Siedząca wśród tłumu, wydawała się równie
zaskoczona jak ja! Sądzę, że od naszego pierwszego spotka-
nia upłynął tylko tydzień. Siedem dni poświęconych na kon-
takty z prasą, telewizją i organizacjami kobiecymi... I oto
rezultat. Prawdziwy cud! Nigdy w życiu nie widziałam tylu
aparatów fotograficznych i kamer. Oddycham coraz szybciej.
Czy to brak powietrza, spowodowany zbyt dużą liczbą napie-
rających na mnie osób, czy po prostu trema? Strasznie się pocę
pod czarną zasłoną.

- Uśmiechnij się, Nadzud! - krzyczy jeden z dziennikarzy,
rozpychając się łokciami, by się do mnie przedostać.

Ledwie zdążyłam się zbliżyć, a już otacza mnie krąg aparatów fotograficznych. Dostrzegam nawet kamerę. Czuję, że się czerwienię - onieśmielają mnie te wszystkie flesze. Poza tym nie widzę w tłumie nikogo znajomego. I te wpatrzone we mnie oczy... Przytulałam się do Szady. Jej zapach - teraz już dobrze mi znana woń jaśminu - dodaje mi odwagi. Szada to moja druga matka!

- *Chala** Szada?

- Tak, Nadzud?

- Boję się.

- Będzie dobrze. Będzie dobrze - szepcze mi do ucha.

Nie myślałam, że wzbudzę tak wielkie zainteresowanie. Ja, przez wiele miesięcy milcząca ofiara gwałtów i przemocy, stoję teraz naprzeciwko tylu dziennikarzy. A przecież Szada obiecała mi, że nie przyjdą, że będziemy tylko my dwie. Co powiem, gdy zaczną mi zadawać pytania? Nie uczono mnie, jak mam na nie odpowiadać.

- Szada?

- Tak?

- W świetle tych wszystkich fleszów czuję się jak... George Bush, ten wielki Amerykanin, którego często widuję w telewizji.

Na twarzy prawniczki pojawia się uśmiech.

- O nic się nie martw - mówi.

Staram się również uśmiechnąć. W środku jednak jestem jak sparaliżowana. Mam dziwne wrażenie, że nie mogę się ruszyć, zupełnie jakby moje stopy przyrosły do podłogi. Wiem, że mój strach wynika z wielkiej niepewności. Jak się dostaje rozwód?

* Po arabsku „ciocia”.

Zapomniałam zapytać Szacie. A w szkole nigdy o tym nie wspomniano. Z Malak, moją najlepszą przyjaciółką, mówiłyśmy sobie wszystko. Ale o tym nie rozmawiałyśmy. Być może myślałyśmy, że to są sprawy dorosłych, a my jesteśmy za małe, żeby się nimi zajmować. Nie wiem nawet, czy moje nauczycielki miały mężów, czy były rozwiedzione... Nie przyszło mi wówczas do głowy, by je o to zapytać. Bardzo trudno jest mi więc dziś porównywać własną historię z tym, co przydarzyło się kobietom z mojego otoczenia.

I nagle, niczym błyskawica, przemyka mi przez głowę straszna myśl: a jeśli ten potwór po prostu powie „nie”? Jak zareagować, gdy postanowi sprzeciwić się naszemu rozstaniu, gdy zagrozi sędziemu swoją dżambiją, wspierany przez braci i mężczyzn z wioski? Co się wtedy stanie...?

- Nic się nie bój, wszystko będzie dobrze. - Szada klepie mnie uspokajająco po ramieniu.

Unoszę głowę, by lepiej się jej przyjrzeć. Myślę, że niewiele spała ostatniej nocy. Ma mocno podkrążone oczy. Wydaje się wyczerpana. Jest mi przykro, że to wszystko przeze mnie. Ale nawet bardzo zmęczona nadal jest piękna i elegancka. Prawdziwa dama z miasta! W tej samej chwili dostrzegam, że jej chusta jest dziś inna, różowa jak tunika, którą ma na sobie. To jeden z moich ulubionych kolorów! Szada włożyła też długą, szarą spódnicę i buty na obcasach. Jakie to szczęście, że jest przy mnie.

Nagle widzę, że ktoś macha do mnie ręką, przedzierając się przez tłum. To Hamed Sabet, reporter dziennika „Yemen

Times". Wreszcie ktoś, kogo znam! Mój nowy przyjaciel, prawdziwy starszy brat, nie taki jak Mohammad. Wysoki, z ciemnymi włosami, okrągłą twarzą i szerokimi ramionami. Przedstawił go nam znajomy Szady. Od razu ujęła mnie jego uprzejmość. Nie wiem, w jakim jest wieku. Nie odważyłam się o to zapytać. Spotkaliśmy się przed kilkoma dniami na dziedzińcu sądu, niemal w tym samym miejscu, w którym nieco wcześniej zaczęła mnie Szada.

Najpierw zapytał, czy może mi zrobić zdjęcie, a potem usiedliśmy w małej restauracji niedaleko sądu. Wyjął pióro i notatnik, po czym zadał mi mnóstwo pytań. Chciał wiedzieć wszystko o moich rodzicach, ślubie, wyjeździe do Chardzi, pierwszej nocy... Byłam cała czerwona ze wstydu, gdy opowiadałam mu swoją historię. Kiedy jednak zobaczyłam wyraz jego twarzy w chwili, gdy opisywałam ślad krwi na prześcieradle, zrozumiałam, że mi współczuł. Zauważyłam, że nerwowo uderza piórem w stół. I choć starał się nad sobą panować, dostrzegłam jego smutek, wściekłość i litość. Nie potrafił ukryć swoich uczuć.

- Jak on mógł? Jesteś taka mała... - wyszeptał.

To dziwne, ale tym razem nie płakałam. Po kilku minutach milczenia mówiłam dalej.

- Chciałam się bawić na podwórzu, tak jak inne dzieci w moim wieku. Bił mnie jednak i zmuszał do powrotu z nim do sypialni, gdzie kazał mi robić te wstrętne rzeczy... Wyzywał mnie stale od najgorszych...

Gdy się zegnaliśmy, notes Hameda był cały wypełniony notatkami. Zapisał każdy najdrobniejszy szczegół. Zdołał się potem dostać do więzienia i aparatem fotograficznym w telefonie

komórkowym zrobił zdjęcia mojemu ojcu i mężowi. Kilka dni później Szada powiedziała mi, że artykuł został opublikowany i odbił się szerokim echem w całym Jemenie. Hamed był pierwszym dziennikarzem, który ujawnił moją historię. Byłam zażenowana, to prawda. Dziś jednak wiem, że wiele mu zawdzięczam.

Kamery ustawione przy wejściu na salę rozpraw zaczynają coś nagrywać.

Moje ciało przebiega dreszcz. Rozpoznaję Abę i... potwora, prowadzonych przez dwóch żołnierzy w czarnych kepi i oliwkowych mundurach. Są wściekli. Przechodząc obok nas, potwór spuszcza wzrok, po czym nagle odwraca się w stronę Szady.

- Jesteście z siebie dumne, co? Krótko się bawiłem na swoim ślubie. Teraz dzięki wam mogę to sobie odbić!

Jak on śmie tak się odzywać! Właśnie tego najbardziej się obawiałam. Szada jest zadziwiająco spokojna, patrzy mu prosto w twarz. Podziwiam jej siłę charakteru. Nie musi wymachiwać na wszystkie strony rękami, by wyrazić uczucia. Wystarczy spojrzeć jej w oczy, żeby wyczytać w nich pogardę, którą do niego żywi. Nie trzeba nic więcej. Wiele się od niej nauczyłam w ciągu ostatnich dni.

- Nie słuchaj go - mówi do mnie.

Ale choć próbuję, nie potrafię panować nad emocjami tak jak Szada. Przynajmniej na razie. Nic nie mogę na to poradzić, serce wali mi bardzo mocno. Tak strasznie go nienawidzę po tym wszystkim, co mi zrobił. Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie Aby. Wydaje się bardzo zmartwiony. Muszę przemówić sobie do rozsądku, ale i tak boję się, że będę miała

wyrzuty sumienia do końca życia! To sprawa honoru" - powtarzał mój ojciec. Patrząc na jego twarz, zaczynam rozumieć, co oznacza to skomplikowane słowo. Jego oczy mówią mi, że jest zły i zarazem zawstydzony. Wszystkie te zwrócone na niego kamery... Choć mam do Aby ogromny żal, to jednak mu współczuję. To jest silniejsze ode mnie. Pewien wpływ ma na to wpojony mi szacunek dla mężczyzn.

- Ale rozgardiasz! - zauważyła policjant. - Jeszcze nigdy sala sądowa nie była taka zatłoczona!

Jak na komendę błyskają wszystkie flesze. Najwyraźniej nadchodzi ktoś ważny. To Mohammad al-Ghazi, główny sędzia. Poznają go po białym turbanie zawiązanym z tyłu głowy. Ma cienkie wąsy i niewielką brodę. Pod białą tuniką nosi szary kaftan. U pasa wisi dumnie dzambija, tradycyjny zakrzywiony nóż plemienny.

Nie spuszcza go z oczu. Sekunda po sekundzie śledzę każdy jego ruch. Patrzę, jak wchodzi za stół zastawiony mikrofonami wszystkich stacji telewizyjnych i radiowych. Przyglądam się, jak siada i układa przed sobą stosy dokumentów. Można by sądzić, że to prezydent kraju, który przygotowuje się do wygłoszenia przemówienia. Dołącza do niego sędzia Abdo. Zajmuje miejsce obok. Co za szczęście, że obaj są tutaj, by mnie wspierać. Ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć własnym oczom.

— W imię Boga Wszechpotężnego i Miłosiernego otwieram rozprawę - oznajmia Mohammad al-Ghazi, po czym prosi, żebyśmy się zbliżyli.

Szada daje mi znak, bym poszła za nią. Z lewej strony nadchodzą Aba i potwór. Słyszę, jak głośno szemrze tłum za moimi plecami. Jedna część mnie czuje się zadziwiająco silna. Ale druga, ta, nad którą nie panuję, byłaby w tej chwili gotowa zrobić wszystko, żebym stała się mała jak myszka. Krzyżuję przed sobą ramiona i staram się wziąć w garść.

Głos zabiera sędziego Abdo:

- Mamy tu do czynienia z małą dziewczynką, którą wydano za mąż bez jej zgody. Po podpisaniu bez jej wiedzy umowy małżeńskiej zabrano ją siłą do prowincji Hadżdża. Tam mąż wykorzystywał ją seksualnie, choć nie osiągnęła jeszcze dojrzałości i nie była gotowa na tego rodzaju stosunki. Ponadto bił ją i wyzywał. Nadzud przyszła do sądu, by żądać rozwodu...

Nadeszła wielka chwila, na którą tak czekałam. Moment ukarania winnych. Tak jak w szkole, gdy nauczycielka wysyłała nas do kąta... Obym tylko wygrała z potworem, żeby tylko zgodził się na rozwód!

Mohammad al-Ghazi uderza kilkakrotnie niewielkim drewnianym młotkiem w stół.

- Posłuchaj mnie dobrze - mówi, zwracając się do odrażającej istoty, której nienawidzę najbardziej na świecie. - Przed dwoma miesiącami poślubiłeś tę dziewczynkę, spałeś z nią i ją biłeś. Czy to prawda?

Potwór mruży oczy, a następnie odpowiada.

- Nie, to nieprawda. Ona i jej ojciec zgodzili się przecież na to małżeństwo.

Czy ja dobrze słyszałam? Jak on śmie? Co za kłamca! Nienawidzę go.

- Spaleś z nią? Spaleś? - pyta Mohammad al-Ghazi.

Na sali zapada cisza jak makiem zasiał.

- Nie!

- Biłeś ją?

- Nie... Nigdy jej nie uderzyłem.

Chwytam się ramienia Szady. Jak może być tak pewny siebie, z tymi żółtymi zębami, krzywym uśmiechem i zmierzwionymi włosami? Dlaczego tak łatwo przychodzą mu te wszystkie kłamstwa? Nie mogę na to pozwolić. Muszę coś powiedzieć!

- On kłamie!

Sędzia zapisuje na kartce kilka zdań. Następnie kieruje wzrok na mojego ojca:

- Zgodziłeś się na to małżeństwo?

- Tak.

- Ile lat ma twoja córka?

- Trzynaście.

Trzynaście? Nikt nigdy mi tego nie mówił! Od kiedy mam trzynaście lat? Sądziłam, że najwyżej dziewięć lub dziesięć. Przebieram palcami, by się uspokoić. Po czym znów wyjęłam słuch.

- Wydałem córkę za mąż, ponieważ się bałem — ciągnie Aba.
- Bałem się...

Ma przekrwione oczy. Bał się? Czego?

- Wydałem ją za mąż z obawy, że da się porwać jak jej dwie starsze siostry... - Ojciec gniewnie unosi pięści ku niebu.

- Pewien mężczyzna zabrał mi już dwie córki! Uprowadził je! Nie mogłem tego znieść. Teraz siedzi w więzieniu.

Nie do końca rozumiem, o czym mówi. Jego odpowiedzi są niejasne i skomplikowane. A pytania, które zadaje sędzia,

stają się jeszcze bardziej niezrozumiałe. Najwyraźniej w moim wieku trudno to pojąć. Słowa, słowa, słowa... Najpierw łagodne, potem coraz brutalniejsze, niczym kamienie rzucone w ścianę. Rozpadają się na drobne kawałki i mocno ranią. Stopniowo wymiana zdań zaczyna być coraz szybsza, a atmosfera - gorętsza. Oskarżeni reagują gwałtownie. W sali słychać głośne szmery. Serce bije mi coraz szybciej. Potwór szepcze coś bardzo cicho do Mohammada al-Ghaziego, który po chwili uderza kilkakrotnie w stół.

- Na prośbę męża rozprawa będzie się dalej toczyć przy drzwiach zamkniętych - oznajmia.

Daje znak, byśmy przeszli za nim do innego pomieszczenia, do którego publiczność nie będzie miała wstępu. Czuję się spokojniejsza z dala od tego tłumu. To są w końcu bardzo osobiste sprawy. Pojawiają się kolejne pytania. Muszę się skupić.

- Czy małżeństwo zostało skonsumowane? — pyta sędzia, zwracając się do mojego męża.

Wstrzymuję oddech.

- Tak. Ale byłem bardzo czuły... I ostrożny... Nie biłem jej.

Czuję się, jakbym dostała obuchem w twarz. A te wszystkie rany, nękanie i cierpienia? „Nie bił cię? A siniaki na ramionach, oczy wypłakane z bólu? Musisz zareagować” - podpowiada mi mój wewnętrzny głos. Jestem wściekła.

- To nieprawda! - krzyczę.

Zwracają się ku mnie wszystkie twarze. Ale to ja sama jestem najbardziej zdziwiona własną spontanicznością. Nigdy dotychczas tak się nie zachowywałam.

Od tej chwili wszystko toczy się już bardzo szybko. Potwór wydaje się prawie dusić własną złością. Mówi, że mój ojciec go oszukał co do mojego wieku. Rozgniewany tymi słowami Aba odparowuje, że zgodnie z ustaleniami mąż miał mnie dotknąć dopiero wtedy, gdy jeszcze trochę urosnę. Na to potwór oznajmia, że zgodzi się na rozwód pod jednym warunkiem: otrzyma z powrotem wniesioną opłatę małżeńską! Aba odpowiada, że nie dostał żadnych pieniędzy. Kłócą się jak na targu. Ile? Kiedy? Jak? Kto mówi prawdę? Kto kłamie? Ktoś proponuje, że może zapłacić 50 000 riali*, jeśli miałyby to pomóc w zamknięciu sprawy. Czuję się zupełnie zagubiona. Niech to już się wreszcie skończy! Niech wszyscy zostawią mnie raz na zawsze w spokoju! Mam dość kłótni dorosłych, przez które muszą cierpieć dzieci! Koniec!

Ogłoszenie wyroku ratuje mnie z opresji.

- Orzekam rozwód! - oznajmia sędzia.

„Orzekam rozwód”! Wprost nie wierzę własnym uszom. Ogarnia mnie dziwna chęć, żeby pobiec i wykrzyczeć całą swoją radość. Jestem taka szczęśliwa, że nie zwracam uwagi na fakt, że sędzia zdecydował również o wypuszczeniu na wolność Aby i potwora. Nie muszą zapłacić żadnej grzywny ani nawet złożyć na piśmie obietnicy, że w przyszłości będą się dobrze sprawowali!

* Ta suma (około 800 złotych) odpowiada czteromiesięcznemu wynagrodzeniu jemeńskiego robotnika.

Teraz chcę się cieszyć odzyskaną wolnością. Wychodząc z małego pomieszczenia, widzę, że tłum wcale nie zmalął. I do tego jeszcze ten hałas!

- Jedno słowo do kamery, Nadżud, tylko jedno! - krzyczy dziennikarz.

Napierają na niego inni ludzie, którzy koniecznie chcą mnie zobaczyć. Głośno klaszczą. Do moich uszu dochodzi też chóralne „*Mabruk*”.

Słyszę, jak ktoś za mną szepcze, że prawdopodobnie jestem najmłodszą rozwódką na świecie.

Zaczynam dostawać prezenty. Pewien mężczyzna, wrzucił moją historię, wciska mi do ręki 150 000 riali. Mówi, że reprezentuje anonimowego saudyjskiego ofiarodawcę. Nigdy w życiu nie dostałam tak dużego pliku banknotów.

- Ta dziewczynka jest bohaterką. Zasluguje na nagrodę! - oznajmia.

Inny mężczyzna opowiada o Irakijce, która pragnie podarować mi złoto.

Wokół mnie błyskają flesze. Mnóstwo dziennikarzy. Z tłumu wysuwa się jeden z moich wujów i mówi podniesionym głosem do Szady:

- Zszargała pani reputację naszej rodziny! Splamiła nasz honor!

Szada szepcze, odwracając się do mnie:

- Nie słuchaj go, mówi same głupstwa.

Bierze mnie za rękę i prowadzi za sobą. Nie muszę się już bać wuja, ponieważ wygrałam. Wygrałam! Jestem rozważona! Nigdy więcej żadnego małżeństwa! Czuję się

dziwnie lekka, wolna i mam wrażenie, że nagle odzyskałam dzieciństwo...

- *Cbala* Szada?

- Tak, Nadżud?

- Mam ochotę na nowe zabawki! Mam ochotę na czekoladę i ciastka!

Nic nie mówiąc, Szada uśmiecha się do mnie serdecznie.

Urodziny

A więc tak wygląda szczęście. Od czasu, gdy przed kilkoma godzinami wyszłam z sądu, dzieje się ze mną coś dziwnego. Nigdy jeszcze odgłosy ulicy nie wydawały mi się takie przyjemne. Przechodząc obok cukierni, pomyślałam o dużej porcji lodów śmietankowych i powiedziałam sobie: „A potem zjadłabym drugą i może nawet trzecią...”. Na widok kota miałam ochotę podbiec, by go pogłaskać. Patrzę na wszystko roziskrzonymi oczami, jakbym dopiero teraz odkrywała drobne uroki codzienności. Czuję się szczęśliwa. To najpiękniejszy dzień mojego życia.

- Jak wyglądam, Szado?

- Ślicznie, po prostu ślicznie!

Aby uczcić moje zwycięstwo, Szada podarowała mi nowe ubrania. Mając na sobie różową bluzę i jasnoniebieskie dzinsy z wyhaftowanymi kolorowymi motylami, czuję się zupełnie nową Nadzud. Długie, kręcone włosy spięłam w koczek i ozdobiłam zieloną wstążką. Dostałam pozwolenie na zdjęcie czarnej zasłony i wszyscy mogą podziwiać moją fryzurę.

Umówiliśmy się na spotkanie z Hamedem i innymi dziennikarzami z „Yemen Timesa”. Trzypiętrowy budynek, w którym mieści się redakcja gazety, robi wrażenie. Przed drzwiami strażnik obserwuje wchodzących i wychodzących. Zupełnie jak przed willami w najbogatszych dzielnicach Sany, które tak lubię rysować. Trochę oszołomiona, wchodzę po stopniach szerokich marmurowych schodów, trzymając się drewnianej poręczy. Zauważam, iż okna są tak czyste, że promienie słońca odbijają się od białych ścian i tworzą małe, żółte kółeczka. W powietrzu czuje się przyjemny zapach pasty do podłóg.

Na drugim piętrze wita mnie serdecznym uściskiem Nadia, szefowa „Yemen Timesa”. Nie sądziłam, że kobieta może kierować redakcją gazety. Jak znosi to jej mąż? Widząc moje zdziwienie, Nadia wybuchła śmiechem.

— Chodź, coś ci pokażę - mówi.

Otwiera drzwi znajdujące się tuż za jej dużym, jasnym biurkiem. To dziecinny pokój, którego podłoga usłana jej niewielkimi poduszkami i zabawkami.

- To królestwo mojej córki - wyjaśnia Nadia. - Czasem zabieram ją ze sobą do pracy. Dzięki temu mogę być mamą i nadal pracować.

Cały pokój tylko dla jednej dziewczynki! Świat, który poznaję, tak bardzo różni się od mojego. Mam niemal wrażenie, że znalazłam się na zupełnie innej planecie. Czuję się onieśmieszona i zarazem zafascynowana.

A to dopiero początek niespodzianek. Gdy zaproszona przez Nadię wchodzę do pomieszczenia zwanego przez nią

salą redakcyjną, odkrywam ze zdumieniem, że większość pracujących tam osób to kobiety. Niektóre z nich są od stóp do głów ubrane na czarno. Unoszą nikab tylko na chwilę, by wypić łyk herbaty. Inne mają na głowie pomarańczowe lub czerwone chusty, spod których wystają pukle jasnych włosów. Ich oczy są niebieskie, a twarze białe jak mleko. Na długich paznokciach mocno połyskuje lakier. Te dziennikarki mówią po arabsku z dziwnym akcentem. Najprawdopodobniej są cudzoziemkami - Amerykankami lub Niemkami - które poślubiły Jemeńczyków. Mają za sobą długie studia na uniwersytecie, dzięki którym znalazły tu zatrudnienie. I tak jak Szada przyjeżdżają do pracy własnym samochodem, który same prowadzą.

Myślę, że piją też kawę i palą papierosy, tak jak w telewizyjnych serialach. Być może nawet malują szminką usta, gdy wieczorem wychodzą na kolację do restauracji. Jedna z nich rozmawia właśnie przez telefon. To na pewno bardzo ważna sprawa. Nadstawiam uszu i urzeka mnie łagodna melodia języka, w którym mówi. Myślę, że to angielski. Pewnego dnia ja także będę mówiła po angielsku.

Przyglądam się dziennikarkom z wielkim zainteresowaniem. Najbardziej dziwi mnie to, że są w stanie pisać ze skupieniem na maszynie, wpatrując się równocześnie w ekran. Na każdym biurku z jasnego drewna stoi bowiem telewizor. Pracować i równocześnie oglądać *Toma tjerryego* - to musi być bardzo trudne i zachwycające zarazem!

- Nadżud, to są komputery! - woła Hamed, który zauważył moje zdumienie.

- Co?

- Komputery! Maszyny połączone z klawiaturą, umożliwiające pisanie artykułów i wysyłanie listów. Możesz w nich nawet zbierać zdjęcia.

Maszyny pozwalające wysłać listy i przechowywać fotografie... Te kobiety nie tylko pięknie wyglądają, ale są też bardzo nowoczesne. Próbuję sobie wyobrazić siebie za dziesięć lub dwadzieścia lat. Z pomalowanymi paznokciami i długopisem w ręku. Mogłabym być dziennikarką. Albo prawniczką. A może i jedną, i drugą? Ze swojego komputera wysyłałabym listy do Hameda i Szady. Będę pracowała ciężko, tego jestem pewna! I zdobędę zawód, który da mi możliwość pomagania cierpiącym ludziom, by mieli lepsze życie.

Zwiedzanie redakcji kończy wizyta w sali konferencyjnej, która jest „miejszem ważnych wydarzeń”, jak wyjaśnia mi Nadia.

- Brawo, Nadzud! - Słyszę męski głos.

- Nadzud wygrała, Nadzud wygrała! - włącza się kilka innych osób, przekrzykując gwar.

Gdy tylko przekraczam próg, znajduję się wśród około trzydziestu osób, których oczy są zwrócone w moją stronę. Rozlegają się oklaski. Towarzyszą im serdeczne spojrzenia, szerokie uśmiechy i przesyłane całuski. Szczypię się w prawą rękę, by się upewnić, że to nie sen. Nie, wcale nie śnię, to najprawdziwsza prawda. Dzisiaj „wydarzeniem dnia” jestem właśnie ja.

I przygotowano dla mnie prezenty. Hamed jako pierwszy wręcza mi ogromnego, czerwonego pluszowego misia, tak dużego, że sięga mi niemal do ramion. Na zaokrąglonym brzuchu ma duże serce, a w nim napis, którego nie umiem odczytać.

— Tu jest napisane *I love you*, po angielsku „kocham cię”.

Nie wiem, na co mam najpierw patrzeć. Ze wszystkich stron obcy ludzie wyciągają do mnie ręce z podarunkami. Rozwiązuję kolejne wstążki i przeżywam niespodziankę za niespodzianką: oto małe elektryczne pianino, kolorowe kredki, bloki rysunkowe, lalka Fulla, podobna do tych, którymi bawiłam się z córką sędziego Abdela Waheda.

Szukam słów, które mogłyby wyrazić moją wdzięczność. Znajduję tylko jedno:

- *Szukran*!*

Uśmiecham się szeroko do wszystkich.

Nadia prosi, żebym pokroiła tort. Czekoladowy, mój ulubiony! Z pięcioma czerwonymi wisienkami ułożonymi na wierzchu dla ozdoby. Nagle powraca do mnie wspomnienie o spacerach z Moną po alei Haile. Ileż razy, stojąc z twarzą przyklejoną do szyby, wyobrażałam sobie ślub i wesele, z prezentami i pięknymi sukniami. Niczego takiego nie miałam.

W porównaniu z marzeniami rzeczywistość bywa niekiedy bardzo okrutna. Ale czasami szykuje nam też bardzo przyjemne niespodzianki.

Dzisiaj wreszcie rozumiem znaczenie słowa „święto”. Gdyby miało być deserem do zjedzenia, byłoby słodkie, chrupiące na zewnątrz i miękkie w środku, jak moje ulubione kokosowe cukierki.

* Po arabsku „dziękuję”.

- Świątowanie z okazji rozvodu jest naprawdę o wiele lepsze niż uroczystość ślubna - mówię, przytulając swojego dużego misia.

- Co możemy ci zaśpiewać z tej bardzo szczególnej okazji, Nadzud? - pyta Nadia.

- Nie wiem...

A ponieważ się waham, Szada wpada na pomysł.

- A może zaśpiewamy ci „Sto lat”? - proponuje.

- „Sto lat”? A kiedy to się śpiewa? - pytam nieco zdumiona.

- Gdy ktoś obchodzi urodziny.

-Jest pewien problem...

-Jaki?

- Nie wiem dokładnie, kiedy się urodziłam...

- No i dobrze. Od tej chwili dzisiejsza data będzie rocznicą twoich urodzin.


Wszyscy zaczynają klaskać.

- Sto lat, Nadzud! Sto lat!

Mam wielką ochotę głośno się roześmiać. Kiedy ma się wokół siebie tylu przyjaznych ludzi, nietrudno być szczęśliwym.

Mona

Czerwiec 2008 roku

 Rozwód zmienił moje życie. Przestałam płakać. Coraz rzadziej śnią mi się koszmary. Takjakby trudne doświadczenia mnie zahartowały. Kiedy wychodzę na ulicę, zdarza się, że kobiety z sąsiedztwa gratulują mi, krzyżąc: *Mabrukl* Słowo to, choć związane z bolesnymi wspomnieniami, znów mnie cieszy. Wypowiadają je osoby, których nie znam. Czerwienię się, ale w głębi duszy jestem z siebie dumna!

Czuję się silniejsza. Nadstawiam stale uszu, próbując rozszyfrować tajemnice dotyczące naszej rodziny, mojego rodzeństwa, a zwłaszcza Mony. Skrupulatnie zbieram maleńkie fragmenty skomplikowanej układanki, która powoli zaczyna przybierać sensowny kształt...

- Poczekajcie na mnie, jadę z wami - krzyżczy Mona, biegnąc za samochodem.

Tego dnia odwiedziła mnie Eman, działaczka walcząca o prawa kobiet. Towarzyszyła jej zagraniczna dziennikarka.

Od niedawna nie mieszkam już u wuja. Wróciłam do rodziców. W moim kraju nie ma specjalnych ośrodków dla dziewcząt będących ofiarami przemocy w rodzinie. Tak czy inaczej, dobrze jest być znów u siebie. Co prawda, ciągle czuję żal do Aby. Ale i on uważa, że ma prawo być zły na mnie. Zachowujemy się więc tak, jakbyśmy wszyscy zapomnieli o tym, co się wydarzyło. Na razie tak jest lepiej.

Moi rodzice przeprowadzili się do dzielnicy Dares, która znajduje się w pobliżu lotniska. Domek nie jest duży, zaledwie dwa niewielkie pomieszczenia, w których jedyną ozdobą są poduszki oparte o ściany. Nocą często budzi nas odgłos lądujących samolotów. Wiem jednak, że tutaj mogę mieć oko na Haifę. Mogę ją chronić. Jeśli ktoś ośmieli się przyjść i poprosić o jej rękę, natychmiast się temu sprzeciwię. Powiem: „Nie, prawo na to nie pozwala!”. A jeśli nikt nie będzie mnie słuchał, wezwę policję! Mam zawsze w kieszeni telefon komórkowy, który podarował mi Hamed. Zupełnie nowy, taki jak Szady. W każdej chwili mogę do niego zadzwonić.

Mohammad, mój starszy brat, nie jest zadowolony. Od czasu rozprawy często mówi coś przeciwko mnie i Haifie. Powtarza ojcu, że całe to zamieszanie wokół rodziny nie służy dobrze naszej reputacji. Zżera go zazdrość, jestem pewna, że o to chodzi. Widać to po minie, którą robi za każdym razem, gdy jakiś dziennikarz stuka do naszych drzwi. Ku mojemu zdziwieniu wiadomość o rozwodzie obiegła cały świat. Co tydzień pojawiają się kolejni reporterzy z krajów, których nazwy brzmią dla mnie egzotycznie: z Francji, Włoch lub... Ameryki. Przyjeżdżają specjalnie do mnie!

- Przez tych wszystkich dziennikarzy, którzy włączają się po dzielnicy, Nadzud przynosi wstyd rodzinie! - Mohammad znalazł Eman, gdy tylko pojawiła się tego ranka.

- To raczej ona powinna się wstydzić za pana - odparła natychmiast.

„Brawo, Eman” - powiedział mój wewnętrzny głos. Mohammad nie znalazł właściwej riposty. Ograniczył się do wycofania w głąb pokoju. A ja szybko pobiegłam - zanim sprzeciwi się mojemu wyjściu - włożyć czarną chustę. Złapałam też za rękę Haifę, by mi towarzyszyła. Nie chciałam, żeby musiała sama stać czoło złości Mohammada. Nigdy nie opuszczę mojej małej siostrzyczki. Eman obiecała zabrać nas na plac zabaw. Nigdy w życiu tam nie byłam. I za żadne skarby nie chcę przepuścić takiej okazji! Już odjeżdżamy, gdy nagle dogania nas Mona.

- Mohammad polecił, żebym pojechała z wami - mówi bardzo zadyszana.

Wydaje się zażenowana, ale zdecydowana. I oświadcza, że bez niej nie odjedziemy. Rozumiemy, że lepiej zastosować się do polecenia starszego brata. Mona, której twarz zasłania nikab, zajmuje miejsce przy kierowcy. Wydaje mi się, że wiem, co chciał osiągnąć Mohammad. Urażony, postanowił się zemścić, wysyłając siostrę na przespiegi. Szybko jednak odkrywam, że biedna Mona ma w głowie zupełnie co innego... Nigdy bym się tego nie domyśliła.

Kiedy już ruszyliśmy, mówi, że zanim pojedziemy do parku, chciałaby zobaczyć naszą dawną dzielnicę, Al-Kaa. Skąd taki dziwny pomysł? Czyżby Mohammad zlecił jej jakieś szczególne zadanie? Speszona natarczywością Mony, Eman zgadza

się na objazd. Przedzierając się powoli wąskimi uliczkami, docieramy do meczetu.

- Proszę się zatrzymać! - woła Mona do kierowcy.

Nigdy nie widziałam jej tak poruszonej. Samochód nagle staje. Na schodach, niedaleko wejścia, siedzi kobieta w czarnej zasłonie. Spod fałd pogniecionej czarnej szaty wyciąga ku przechodniom rękę w oczekiwaniu na najdrobniejsze nawet datki. Na drugiej jej ręce opiera się policzek śpiącej małej dziewczynki, rozczochranej i w poplamionej sukience.

- To Monira! - krzyczę.

Monira to córka Mony, moja mała siostrzenica! Co jednak robi w ramionach żebraczki, osłoniętej od stóp do czubka głowy czarną tkaniną?

- Gdy mój mąż znalazł się w więzieniu, teściowa zażądała prawa do opieki nad Monirą - szepcze Mona ku zdziwieniu wszystkich. I dodaje: - Ona mówi, że z dzieckiem na rękę łatwiej jej zmiękczać serca ludzi...

Jestem zaszokowana. Monira, mała, delikatna dziewczynka, zmuszona żebrać z babką w łachmanach? Mąż Mony za kratkami? Czego się jeszcze dowiem? A zatem mężczyzna przebywający w więzieniu, o którym wspominał Aba podczas rozprawy, to on...

Mona nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Jest zbyt zajęta przytulaniem córki, którą wyrwała z rąk zawołowanej postaci.

- Tak za nią tęsknię... Odprowadzę ją, obiecuję... Przyrzekam... - Słyszę, jak zwraca się do kobiety w czerni.

Wsiada z powrotem do samochodu, trzymając w ramionach trzyletnią córeczkę. Wnętrze wypełnia brzydki zapach. Dziewczynka jest tak brudna, że trudno odgadnąć kolor jej skarpetek.

Zamykamy drzwi i odjeżdżamy. Monira cieszy się, że nas widzi, a my niemal zapominamy o niezwykłych okolicznościach, w jakich ją zobaczyłyśmy.

Samochód zmierza teraz ku południowo-zachodniej części miasta. Przejeżdżamy obok innego meczetu, będącego jeszcze w trakcie budowy. Przypomina zamek, jest taki duży i bogato zdobiony. Z czołem przyklejonym do szyby podziwiam sześć ogromnych minaretów. Robią naprawdę duże wrażenie. Eman wyjaśnia, że to nasz prezydent zlecił wzniesienie tej świątyni za równowartość 60 milionów dolarów. Umiem liczyć tylko do stu, mówię więc sobie, że musi to być naprawdę duża suma. Przez głowę przemyka mi myśl: życie jest dziwne, prawda? Są meczety wyglądające jak pałace. I żebracy, którzy nie mają co jeść. Muszę poprosić Szadę, żeby mi to wszystko wytłumaczyła któregoś dnia.

Teraz bardziej interesuje mnie Mona. Gdy już docieramy na miejsce, powoli zaczyna opowiadać...

- To długa historia - mówi z westchnieniem, pozwalając Monirze schować się za krzakiem.

Haifa biegnie za naszą małą siostrzenicą.

Eman i dziennikarka siadają naprzeciw mojej starszej siostry w cieniu rozłożystego drzewa i zaczynamy słuchać.

- Mohammad, mój mąż, trafił do więzienia na kilka tygodni przed nieszczęsnym ślubem Nadzud... Nakryto go w sypialni

z naszą najstarszą siostrą, Dżamilą. Już od pewnego czasu coś podejrzewałam. Aby mieć spokojne sumienie, wezwałam ludzi, żeby przyłapali ich na gorącym uczynku. Bardzo szybko zamieniło się to w bijatykę. Przyjechali policjanci i zabrali Mohammada i Dżamilę. Od tego czasu oboje przebywają w więzieniu. Nie wiem, jak długo tam pozostaną...

Mona spuszcza wzrok, a ja przyglądam się jej ze zdziwieniem, nie wiedząc zbytnio, co powiedzieć. Trudno mi zrozumieć powagę sytuacji, ale opowieść siostry wywołuje u mnie smutek.

- W Jemenie za zdradę grozi kara śmierci - szepcze Eman.

- Tak, wiem - odpowiada Mona. - Dlatego też Mohammad naciska teraz, żebym podpisała dokument, pozwalający zakończyć sprawę. Zgodnie z nim mielibyśmy się rozwieść jeszcze przed aresztowaniem. Nie zgadzam się odwiedzić go w więzieniu, więc przesłał mi taką wiadomość. Ale ja nie ustąpię! Tym razem się nie wywinie! Wystarczająco dużo już przez niego wycierpiałam.

Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej Mona była taka rozmowna. Kiedy mówi, porusza rękami, a jej oczy błyszczą w przecięciu nikabu, zasłaniającego całą jej twarz. Serce ściska mi się ze współczucia, gdy słucham jej drżącego głosu. A jednak zupełnie nieoczekiwanie wybuchamy wszystkie szalonym śmiechem. Przykucnąwszy za krzakiem, Monira zdjęła majtki i niewielka jasna strużka pociekła na trawę pośród słońca.

- Córeczko! - krzyczy Mona, powodowana naturalnym matczynym odruchem. Jeszcze przez chwilę się uśmiecha, po czym jej oczy znów posępnieją. - Moniro, córeczko... Jestem skazana na to, by samotnie wychowywać dzieci, rzecz jasna pod

warunkiem że teściowa pozwoli mi je widywać. Mohammad nigdy nie był dobrym ojcem. Ani dobrym mężem...

Milczy przez chwilę, po czym kontynuuje:

- Byłam mniej więcej w tym samym wieku co Nadzud, gdy zmuszono mnie do małżeństwa. Wcześniej prowadziliśmy szczęśliwe życie w Chardzi. Aż do tego strasznego dnia, gdy zawalił się cały mój świat...

Mrużę oczy i przysuwam się bliżej, by lepiej słyszeć. Myślę, że jak na swój wiek już za dużo się nasłuchałam. Teraz jednak muszę poznać koniec tej historii. To przecież moja siostra, a ja w dziwny sposób czuję się za nią odpowiedzialna.

- Omma wyjechała do Sany, gdyż pilnie wymagała leczenia. Miała poważne problemy ze zdrowiem i lekarze doradzili, żeby udała się na konsultację do specjalisty w stolicy. Jak zwykle Aba wyszedł wcześniej, by zająć się stadem. Zostałam w domu sama z młodszym rodzeństwem. Nadzud była wówczas jeszcze niemowlęciem... Nadszedł nieznan mi młody mężczyzna. Mógł mieć około trzydziestu lat. Zaczął się do mnie zalecać... Próbowałam go wyprosić, ale bez skutku... W końcu wepchnął mnie do sypialni. Broniłam się i krzyczałam. Mówiłam „nie”, ale... - Mona na chwilę zamilkła. - Gdy Aba wrócił, było już za późno. Wszystko odbyło się tak szybko...

Nie wierzyłam własnym uszom! Biedna Mona. I ona także przez to przeszła... Surowe spojrzenie, przygnębiona mina i z rzadka wybuch nerwowego śmiechu... A więc to tak...

- Aba był wściekły. Biegał od sąsiada do sąsiada, by się dowiedzieć, co się wydarzyło. Oskarżył całe najbliższe otoczenie o spisek. Nikt nie chciał jednak o niczym słyszeć. Wódz

plemienny, poinformowany o sprawie, nie znalazł lepszego rozwiązania niż pospiesznie przygotowany ślub, zanim plotki zdążyłyby rozejść się od domu do domu, od doliny do doliny. A wszystko to dla ratowania honoru! Mówił, że lepiej będzie, jeśli cała historia zakończy się jak najszybciej. Mnie nikt nie pytał o zdanie. Ubrana w niebieską suknię, z dnia na dzień poślubiłam mężczyznę, który mnie zgwałcił. W tym czasie Omma zdążyła już wrócić do wioski. Wznosiła ręce ku niebu, miała sobie za złe, że wyjechała. Aba odczuwał wstyd. Uważał, że został poniżony i zdradzony. Chciał się zemścić. Mówił, że to wina sąsiadów, że ktoś pragnął jego krzywdy i dlatego zhańbił mu dziecko. Pewnego wieczoru zebrali się wszyscy mężczyźni z wioski. Rozmawiali. Atmosfera stawała się coraz gorętsza. Coraz częściej padały obelżywe słowa, aż wreszcie wyciągnięto noże. Nieco później - jeszcze tego samego wieczoru lub następnego ranka, nie pamiętam już dobrze - sąsiedzi wrócili z rewolwerami. Grożąc nam, zmusili do natychmiastowego wyjazdu. Rodzice udali się do Sany. Mój mąż i ja schroniliśmy się na kilka tygodni gdzieś indziej, ale w końcu dołączyliśmy do reszty rodziny w stolicy.

W środku cała się trzęsę. Pospieszny wyjazd do Sany... Wściekłość ojca... Smutek Mony i jej niezwykle opiekuńczy stosunek do mnie... Zaczynam powoli rozumieć.

- Wiele lat później, kiedy Aba oznajmił, że wydaje Nadzud za mąż, zrobiło mi się słabo. Zaczęłam go błagać, by się jeszcze zastanowił. Mówiłam, że moja siostrzyczka jest za mała. Nie chciał o niczym słyszeć. Powtarzał, że po wyjściu za mąż nie będą jej już zagrażać porywacze włóczący się ciągle po dzielnicy... Ze miał już wystarczająco dużo kłopotów ze mną

i Dżamilą... Gdy wszyscy *mężczyźni* z rodziny zebrali się, by podpisać umowę ślubną, zaproponował nawet, że w ramach *sighar*, wymiany małżeńskiej, siostra męża Nadżud może poślubić Faresa, gdy ten pewnego dnia wróci z Arabii Saudyjskiej... Wieczorem, w dniu ślubu, nie mogłam się powstrzymać od łez, widząc Nadżud w tej za dużej sukni. Była stanowczo za mała na małżeństwo! Ileż ja się wówczas napłakałam! Mając nadzieję, że ją ochronię, poszłam nawet porozmawiać z jej mężem. Zmusiłam go, by przysiągł mi w obliczu Boga, że jej nie tknie, że zaczeka, aż osiągnie dojrzałość, a tymczasem pozwoli, by bawiła się z innymi dziećmi w jej wieku. Powiedział: „Obiecuję”. I nie dotrzymał słowa... To łotr! Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nie trzeba ich słuchać. Nigdy... Nigdy...

Nie mogę przestać wpatrywać się w nikab Mony. Tak bardzo chciałabym zobaczyć teraz całą jej twarz ukrytą pod zasłoną, patrzeć na łzy spływające po policzkach. Wstydzę się, że posądzałam ją o chęć szpiegowania nas... Gdybym tylko wcześniej wiedziała... Tyle cierpienia, trwającego od tak wielu lat, znoszonego bez słowa protestu, bez podnoszenia głosu, bez jednej skargi, bez szukania pomocy u kogokolwiek... Mona, moja starsza siostra, której los był jeszcze tragiczniejszy niż mój, uwięziona w labiryncie problemów... Tak jak mnie, i ją okradziono z dzieciństwa. W tej samej chwili jednak pojmuję, że w przeciwieństwie do niej znalazłam w sobie dość siły, by zbuntować się przeciwko przeznaczeniu. I miałam szczęście, że podano mi pomocną dłoń.

- Mona! Nadżud! Patrzcie na nas! Patrzcie na nas!

Unosimy głowy. Haifa śmieje się do rozpuku, siedząc na huśtawce. Mała Monira wtula się w jej kolana. Mona wstaje, ja idę za nią. Huśtawka obok jest wolna.

- Nadżud, pomóż mi wlecieć ku niebu - prosi moja siostra.

Siada na huśtawce. Wspinam się za nią, stawiając stopy na końcach drewnianego siedzenia i ujmując mocno dłońmi oba sznury. Zaczynam się kołysać. Do przodu. Do tyłu. Do przodu. Do tyłu. Wciąż szybciej i szybciej.

Huśtawka unosi się coraz wyżej.

- Jeszcze, Nadżud, jeszcze! - Cieszy się Mona.

Wiatr owiewa moją twarz. Jest taki rześki. Moja siostra wybucha szalonym śmiechem. Jej serce jest lekkie. Podobnie jak ciało. Po raz pierwszy słyszę, by śmiała się tak naturalnie. Po raz pierwszy też huśtamy się razem! Mam wrażenie, że fruвам w powietrzu niczym piórko. Jak przyjemnie jest odzyskać utraconą niewinność...

- Omma lata! Omma lata! - żartuje siedząca obok Monira.

Mona wydaje króciutkie okrzyki radości. Nie chce przestać się huśtać.

Po kilku minutach moja chusta ustępuje w końcu pod naporem powietrza. I po raz pierwszy nie naciągam jej od razu z powrotem na głowę. Włosy opadają mi na ramiona i płyną na wietrze jak fale. Czuję się wolna, naprawdę wolna!

Powrót Fatesa

Sierpień 2008 roku

Y adłam coś, co nazywa się pizza. Było to przed kilkoma dniami w bardzo nowoczesnej restauracji, w której kelnerzy noszą czapki z daszkiem i głośno krzyczą do mikrofonu, przyjmując zamówienia.

Cóż za dziwny smak! Pizza była chrupiąca, miała wielkość dużego placka *chubz*, a na wierzchu dużo dobrych rzeczy: pomidory, kukurydza, kawałki kurczaka i oliwki. Przy stoliku obok siedziały kobiety, które przypominały mi dziennikarki z „Yemen Timesa”. Były eleganckie i posługiwały się nie tylko nożem, ale także widelcem, którym wkładały jedzenie do ust.

Postanowiłam je naśladować, krojąc i przytrzymując swoją pizzę sztucami. Na początku wcale nie było to łatwe. Rozrzucałam zawartość talerza na wszystkie strony. Haifa zauważyła dziewczynkę, która na swoją porcję wyciskała z butelki pikantny sos pomidorowy. Chciała także spróbować. Już po kilku kęsach zaczęło ją palić w gardle i z oczu pociekły jej łzy. Na szczęście jeden z kelnerów

zdecydował się odejść od mikrofonu i podać nam dużą butelkę wody!

Od tamtej pory, gdy pomagamy Ommie przygotowywać posiłki, bawimy się zawsze w klientki pizzerii, które wybierają swoje ulubione potrawy.

- Co podać? - pyta Haifa, rozkładając talerze w największym pomieszczeniu w domu.

- No nie wiem, dziś może wezmę pizzę z serem - odpowiadam po chwili namysłu.

Zdecydowałam się na taką pizzę, gdyż przeszukując chwilę wcześniej torbę na zakupy, znalazłam w niej tylko ser. Trudno, dobre i to.

- Do stołu! - woła wesoło Haifa, zapraszając wszystkich domowników.

Ledwie rozpoczęliśmy skromny posiłek, gdy rozlega się stukanie do drzwi.

- Nadzud, czekasz na kolejnych dziennikarzy? - pyta Mohammad, patrząc na mnie podejrzliwie.

- Nie, dziś nie...

- Może to beczkowóz dostarczający wodę. Ale zwykle napełniamy zbiornik rano...

Mój starszy brat wstaje, marszcząc brwi. Nie przerywa przy tym żucia kawałka chleba. Pospiesznym krokiem kieruje się ku obitym blachą drzwiom. Kto może przychodzić o tej porze w gorący sierpniowy dzień? Podczas największych upałów wizyty składa się zazwyczaj wieczorem.

Chwilę później jego okrzyki podrywają nas na równe nogi.

- To Fares! — słyszymy. — Fares wrócił!

Czuję, że zaraz zemdleję. Fares, mój kochany braciszek, którego nie widziałam od czterech lat! Przytrzymując się ściany drżącymi rękami, moja matka idzie chwiejnym krokiem ku wejściu. Depczemy jej wszyscy po piętach. Mała Rawza próbuje nas wyprzedzić, przeciskając się między naszymi nogami. Nigdy ten malutki korytarz nie wydawał mi się taki długi.

W drzwiach stoi młody mężczyzna o zapadniętych policzkach i skórze spalonej słońcem. Ależ się zmienił! Fares, wysoki i bardzo szczupły, nie jest już nastolatkiem ze zdjęcia, któremu wielokrotnie się przyglądałam. Wpatrywałam się w każdy szczegół, bojąc się, że zapomnę, jak wygląda twarz brata. Teraz muszę unieść wysoko głowę, by móc popatrzeć na niego z bliska. Jego spojrzenie stało się surowe, a na czole pojawiło się kilka ciemnych linii, zupełnie jak u Aby. To już mężczyzna.

- Fares! Fares! Fares! - Szłocha matka, czepiając się białej tuniki syna, by mocniej go przytulić.

- Bardzo nam ciebie brakowało - mówię, gdy wreszcie mogę go pocałować.

Stojący sztywno Fares nie odzywa się ani słowem. Wydaje się wyczerpany. Jego oczy są nieruchome, niemal smutne. Gdzie podziała się werwa, z którą tak mu było do twarzy?

- Fares! Fares! - Powtarza jak automat Rawza.

Tak naprawdę nie rozumie, że ten wysoki przybysz jest jej starszym bratem, który opuścił dom, gdy była niemowlęciem.

Od czasu, gdy zadzwonił do nas z Arabii Saudyjskiej, dwa lata po ucieczce, nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości.

Aż do nieoczekiwanego telefonu pewnego wieczoru w ubiegłym miesiącu. Gdy Omma rozpoznała głos Faresa, zaczęła krzyzczyć z radości. Wyrwaliśmy sobie wszyscy słuchawkę z rąk, by móc go usłyszeć. Wydawało się, że jest daleko, bardzo daleko, ale ucieszyłam się, że żyje.

- Czy wszystko u ciebie w porządku? - zapytał ojciec łamiącym się głosem, tłumiąc łzy.

Aba chciał się dowiedzieć wszystkiego o Faresie. Dla kogo pracuje? Czy podoba mu się tam, gdzie teraz mieszka? Czy dobrze zarabia? Fares nie odpowiadał, lecz kilkakrotnie powtórzył to samo pytanie, które wydawało się go dręczyć:

- A co u was? - Mówiąc to, położył akcent na „u was”. A potem dodał: - Bardzo się martwię... Doszły mnie słuchy... Proszę, powiedzcie, czy wszystko dobrze...

Fares był zaniepokojony. Dało się to wyczuć w jego głosie. Czy czegoś się domyślał? Wyjaśnił, że dotarły do niego plotki o naszej rodzinie. Do tej dalekiej Arabii Saudyjskiej, której nie potrafiłam nawet pokazać na mapie. Podróżni z Jemenu opowiedzieli mu, że mieliśmy problemy. Nie podali jednak szczegółów. Widział także mnie i ojca na zdjęciu zamieszczonym w lokalnej gazecie. Ale ponieważ przestał chodzić do szkoły już pod koniec pierwszej klasy, nie potrafił przeczytać znajdującego się obok artykułu. Stale myślał o tej tajemniczej historii... Do tego stopnia, że zaczął cierpieć na bezsenność.

Plotki powtarzane przez podróżnych... Nasze zdjęcie w dzienniku... Wiadomość o moim rozwodzie znana nawet poza granicami kraju... Poddając się naleganiom Faresa, ojciec streścił pokrótce wydarzenia ostatnich miesięcy.

- Teraz rozumiem nieco lepiej — podsumował mój brat.

- Synku, proszę, wróć do domu - błagała go matka, połykając łzy.

- Nie mogę, mam pracę... - zdążył powiedzieć, zanim połączenie zostało przerwane.

Ta rozmowa telefoniczna nie trwała dłużej niż dziesięć minut. Wystarczyła jednak, by ponownie pogрузić Ommę w całkowitej rozpacz. W ciągu kilku dni jej nastrój gwałtownie się pogorszył. I choć po moim rozwodzie odzyskała radość życia, teraz znów denerwowała się byle czym. Chciała zobaczyć syna, poczuć go, dotknąć. Nie mogła już znieść myśli, że naszej rodzinie stale zagrażały uciezki czy porwania. Dlaczego los tak się na nią wziął? Czy nie miała prawa do odrobiny szczęścia, podobnie jak inne matki?

Znów śniły się jej koszmary. Nabrała też przekonania, że już nigdy nie zobaczy Faresa. Uznała, że na zawsze opuścił rodzinę i zadzwonił wyłącznie po to, by uspokoić sumienie. Wieczorem nie mogła zasnąć. Gdy na nią patrzyłam, serce pękało mi z żalu. Rozwód otworzył mi oczy na wiele spraw. Stałam się teraz bardziej wrażliwa na nieszczęścia innych.

I oto tego gorącego, parnego dnia Fares stoi przed nami. O wiele spokojniejszy i bardziej milczący niż ten, którego zapamiętałam. Rozpoznaję jednak grube brwi i kręcone włosy, które wcale się nie zmieniły. Pytania same cisną mi się na usta. Czy jego szef dobrze go traktował? Czy znalazł w Arabii Saudyjskiej nowych przyjaciół? Czyjada się tam pyszną pizzę?

Mama nie chce odejść od Faresa ani na chwilę. Ciągnie go za rękę do pokoju. On nie jest zbyt rozmowny. Powolnym ruchem zdejmuje buty i siada na poduszcze. Ani na moment nie spuszcza z niego oczu. Omma przynosi herbatę. Mój brat wypija pospiesznie kilka łyków.

- Opowiadaj, proszę - nalega ojciec.

Fares odstawia szklankę na sofę.

- Przez cztery lata nie udało mi się nic zaoszczędzić. Przykro mi... Gdybym wiedział... - szepcze, spuszczaając głowę.

Milknie. Potem jego twarz powoli się rozluźnia i zaczyna się na niej pojawiać cień uśmiechu.

- Pamiętasz, Aba? Pewnego dnia wysłałeś mnie, żebym wyprosił darmowy chleb u piekarza. A gdy wróciłem z niczym, strasznie na mnie nakrzyczałeś. Nie potrafiłem ci tego wybaczyć. Zżerał mnie wstyd, miałem dość ciągłego żebrania. Marzyłem o nowych spodniach, jak wszyscy chłopcy w moim wieku. A w domu ledwie starczało na jedzenie. Następnego ranka obudziłem się z przemożnym pragnieniem samodzielności. Nie chciałem być zależny od nikogo. Pragnąłem odnieść sukces, godnie zarabiać na życie, kupować sobie takie ubrania, jakie będę chciał. Uciekłem, przyrzekając sobie, że wrócę dopiero wtedy, gdy moje kieszenie wypełnią się pieniędzmi...

Przerwał, by napić się herbaty, po czym mówił dalej:

- W naszej dawnej dzielnicy mieliśmy sąsiadów, którzy wspominali o możliwości pracy w Arabii Saudyjskiej. Mówili, że można tam dobrze zarobić. Tak dużo, że niektórzy nawet wysyłają pieniądze do kraju, by pomóc rodzinie. Tego właśnie potrzebowałem. Postanowiłem spróbować. Zżerała mnie

ambicja. Nie miałem nic do stracenia... Byłem młody i lekko-myślny. Nie wyobrażałem sobie, że może się to okazać takie trudne. Dotarcie do Arabii Saudyjskiej trwało cztery dni. Najpierw pojechałem wraz z kilkoma innymi osobami taksówką do Sady, miasta na północnym zachodzie Jemenu. Po drodze natknęliśmy się na liczne wojskowe posterunki. Zacząłem wówczas rozumieć, że podróż będzie długa i trudna. Po przybyciu do Sady poznałem pośrednika, który za 5000 riali* zaproponował mi pomoc w nielegalnym przekroczeniu granicy. To drogo, ale w sytuacji, w której się znalazłem, nie chciałem się wycofywać. Pocieszałem się, że przynajmniej mam do czynienia z kimś doświadczonym. Jak mówił, znał ścieżki, na których na pewno nie spotkamy straży granicznej. A ponieważ nie miałem żadnego dokumentu tożsamości, lepiej było skorzystać z jego usług.

- Tak bardzo się niepokoiliśmy! Myśleliśmy, że zniknąłeś na zawsze - przerwał mu Aba.

Fares, zatopiony we wspomnieniach, mówił dalej, nie zwracając uwagi na słowa ojca.

- Przeszliśmy granicę na piechotę, w samym środku nocy. Nigdy w życiu tak się nie bałem. Po drodze spotkaliśmy innych Jemeńczyków, niektórzy byli młodszy ode mnie. Podobnie jak ja nie wiedzieli, co ich czeka po drugiej stronie granicy. Wszyscy mieliśmy w głowie tylko jedno: dorobić się fortuny. Idąc w ciemności, uświadomiłem sobie w końcu, na co się narażam. Gdybym wpadł w ręce żołnierzy, od razu odesłaliby mnie do Sany...

Ulga, którą odczułem po przekroczeniu granicy, bardzo szybko ustąpiła miejsca niepewności. Dokąd się udać? Po raz

* Około 80 złotych.

pierwszy znalazłem się w obcym kraju. *Zmęczony*, szedłem bardzo długo, aż dotarłem w okolice miasta Chamis Muszeid. Co za rozczarowanie! Ta część Arabii Saudyjskiej nie różni się specjalnie od okolic Sany. Napotkany mężczyzna, którego zapytałem o drogę, zaproponował mi nocleg. Mieszkał na odludziu wraz z żoną i dziećmi.

Następnego ranka zaoferował mi pracę. Od razu się zgodziłem. Tak naprawdę nie miałem wyboru. Mój pracodawca hodował owce. Dostałem pod opiekę stado złożone z sześciuset zwierząt. Moim obowiązkiem było wyprowadzanie ich codziennie na pastwisko. Pomagał mi drugi pasterz, pochodzący z Sudanu. Pracowaliśmy dwanaście godzin dziennie, od szóstej rano do szóstej wieczorem. Mieszkaliśmy w kamiennej chatce na pełnym pustkowiu. Mieliśmy do dyspozycji tylko dwa nieduże materace. Nie było ani telewizora, ani lodówki, ani toalety, ani klimatyzacji. Byłem bardzo zawiedziony...

Fares robi przerwę, by przełknąć ślinę. Głos zaczyna mu się łamać. To z pewnością zmęczenie po podróży...

- Od tej chwili rozczarowanie goiło rozczarowanie. Każdego dnia właściciel owiec stawał się bardziej wymagający. Musiałem karmić i poić zwierzęta, wyprowadzać je na pastwisko. Codziennie pracowałem coraz dłużej. Potrzebowałem miesiąca, by uświadomić sobie sytuację, w której się znalazłem. Dostałem bowiem pierwszą pensję: 200 saudyjskich riali*. Za trzydzieści dni ciężkiej harówki. Mogłem sobie za to kupić cukierki w pobliskim sklepie spożywczym, który należał - o ironio! - do mojego pracodawcy.

* Około 160 złotych.

Byłem zdezorientowany. Policzyłem szybko, że musiałbym pracować co najmniej rok, by zebrać sumę umożliwiającą powrót do Sany. Nie miałem nawet pieniędzy na telefon do was. A ponadto duma nie pozwalała mi przyznać się do porażki. Pierwszy raz zadzwoniłem tylko po to, żebyście myśleli, że dobrze mi idzie. Za drugim razem, po dwóch latach, dlatego że bardzo się o was niepokoiłem...

Fares pochyla głowę, nabiera dużo powietrza do płuc i głęboko wzdycha.

- Gdy odłożyłem słuchawkę, nie mogłem przestać myśleć o łzach Ommy. Nie mogłem zasnąć. Policzyłem uzbierane pieniądze. Było ich tylko tyle, żeby dojechać do Sany. Podjąłem decyzję: czas wracać do domu. Tydzień temu rozmówiłem się z moim pracodawcą.

- A teraz co zamierzasz? - zapytał Mohammad.

- Będę, jak inni, sprzedawał na ulicy gumę do żucia - odpowiedział Fares zrezygnowanym tonem.

Jakże mój brat się zmienił! Dawniej taki ambitny, dziś gotowy dołączyć do grona przegranych. Niczym obrazek namalowany farbami, których kolory miały nigdy nie zblaknąć, wciąż widzę jego zimne spojrzenie w chwili, gdy sprzeciwiał się ojcu. Pamiętam wszystkie psoty, które tak denerwowały Abę, a mnie rozśmieszały. Gdyby Fares był wtedy z nami w pizzerii, z pewnością jako pierwszy zacząłby robić samoloty z serwetek i puszczać je tak, by spadały na sąsiedni stół. Dziś jestem pewna, że to właśnie myśl o jego ucieczce dodała mi siłę, by w kwietniu pójść do sądu. I odwagi, by walczyć o niezależność. Myślę, że mam wobec niego dług wdzięczności.

Fares przegrany? Nie, to niemożliwe. Nigdy nie pomyślałabym, że może się poddać. Nigdy. Nie pozwolę na to. Pewnego dnia znajdę sposób, by mu pomóc. Teraz jeszcze nie wiem jak, ale na pewno to zrobię.

Kiedy będę prawniczką...

16 września 2008 roku

W

Sanie jest wietrznie. Wiatr pod koniec lata zawsze zapowiada powrót wieczornych chłódów i pierwsze krople deszczu. Moje młodsze rodzeństwo znów będzie mogło brodzić w kałużach wraz z innymi dziećmi z dzielnicy. Już niedługo zżółkną liście drzew, a na skrzyżowaniach pojawią się obwoźni sprzedawcy kołder.

Mnie ten wiatr kojarzy się z początkiem roku szkolnego. Długo czekałam na ten moment. W nocy prawie nie spałam. Wieczorem, przed położeniem się do łóżka, spakowałam nowy tornister z brązowego płótna. Włożyłam do niego nowe zeszyty. Na kartce papieru zapisałam kilkakrotnie swoje imię, by poćwiczyć. A także imię Malak. Długo myślałam o mojej dawnej przyjaciółce z klasy. Niestety, już jej nie spotkam, gdyż będę chodziła do innej szkoły.

We śnie widziałam niezapisane zeszyty, kolorowe kredki i samą siebie w otoczeniu wielu dziewczynek w moim wieku. Od kilku tygodni nie śnią mi się już koszmary. Nie budzę się

spocona, ze łzami w oczach i z wyschniętymi wargami. Nie myślę o otwieranych z trzaskiem drzwiach i lampie olejowej, która się przewraca. Za to marzę o szkole. A gdy się czegoś bardzo pragnie, można mieć nadzieję, że to się spełni.

Kiedy otworzyłam oczy ranka, od razu poczułam, jak mocno bije mi serce. Wstałam cichutko, umyłam zęby i uczesałam włosy. Wszystkie kobiety z mojej rodziny jeszcze spały, leżąc obok siebie na podłodze w małym pokoju w głębi domu. W pomieszczeniu obok, zajmowanym przez mężczyzn, również była cisza. Zanim włożyłam swój nowy szkolny strój - długą zieloną sukienkę i białą chustę - starannie umyłam twarz zimną wodą.

- Haifa, obudź się, bo się spóźnimy!

Moja mała siostrzyczka, z twarzą przyklejoną do poduszki i potarganymi włosami, chciałaby jeszcze pospać. Kiedy biegnę do drzwi, by sprawdzić, czy nie nadjechała już taksówka, Omma pomaga jej się ubrać i włożyć buty. Haifa nie może znaleźć swojej chusty. Nic nie szkodzi, weźmie inną, trochę poplamioną, ale trudno, jutro się poprawimy. Samochód już na nas czeka. Przysłała go międzynarodowa organizacja humanitarna, która płaci za naszą szkołę i dojazd do niej.

- Gotowe i

- Tak.

- No to w drogę!

Serce bije mi coraz szybciej. Łapię w pośpiechu tornister i z dumą zakładam go na plecy. Przed odjazdem całujemy Ommę. Mała Rawza, uczepiona jej spódnicy, macha nam ręką

na pożegnanie, po czym wybucha śmiechem. Zauważyła w oddali przechodzące stado owiec. Nasz nowy, nieduży betonowy dom, wybudowany na samym końcu niewybrukowanej ślepej uliczki, mieści się przy Coca-Cola Company, nieopodal ugoru, na którym pasterze od świtu wypasają stada.

Siedzimy obok siebie na tylnym siedzeniu. Słyszac war-kot silnika, Haifa i ja wymieniamy porozumiewawcze uśmiechy. Nic nie mówimy, ale obie wiemy, jak bardzo jesteśmy szczęśliwe. I niespokojne. Długo czekałam na dzień, w którym będę mogła znów rysować, uczyć się arabskiego, Koranu i matematyki. Kiedy zmuszono mnie do opuszczenia szkoły, umiałam liczyć do stu. Teraz chcę się nauczyć liczyć do miliona!

Z twarzą przyklejoną do szyby rzucam okiem na czyste, błękitne niebo. Tego ranka wiatr przegnał chmury. Ulice wydają się opustoszałe. Właściciele sklepów nie podnieśli żaluzji. Stary sąsiad, który stale narzeka na pukających do naszych drzwi dziennikarzy, tym razem nie wyszedł jeszcze z domu, by przyglądać się nam ze szczytu schodów. Nikt nie stoi w kolejce przed pobliską piekarnią, zamkniętą na cztery spusty. W tym roku - co zdarza się niezmiernie rzadko - początek roku szkolnego przypada na okres ramadanu. Dlatego połowa miasta ciągle jeszcze śpi.

Po raz pierwszy poszczę jak dorośli, od porannej do wieczornej modlitwy. Początkowo nie było to łatwe, przede wszystkim z powodu upałów. Miałam wysuszone gardło i strasznie chciało mi się pić. Wydawało mi się, że zaraz zemdleję. Bardzo szybko jednak zaczęłam lubić ten długi miesiąc, uroczysty i pełen

skupienia, różniący się od wszystkich pozostałych w roku. Żyjemy wówczas zupełnie inaczej. Kiedy pod wieczór słońce chowa się za dachami, jemy daktyle, szorbę, czyli zupę z jęczmienia, i *floris*, małe placuszki z ziemniaków i mięsa. Są to potrawy typowe dla ramadanu. Kładziemy się wówczas spać bardzo późno, niekiedy nawet o trzeciej nad ranem! Nocą restauracje są przepełnione, a neony sklepów z ubraniami i zabawkami świecą całymi godzinami. W centrum miasta, w pobliżu Bab al-Jemen, jest tak tłoczno, że trudno jest przejechać samochodem.

Gdy pierwszy raz tego dnia, około piątej, obudziłam się na poranną modlitwę, podziękowałam Bogu, że mnie nie opuścił przez ostatnie miesiące. Poprosiłam, by pomógł mi ukończyć pomyślnie drugą klasę szkoły podstawowej i zachował w dobrym zdrowiu. A także wspierał Abę i Ommę w zarabianiu pieniędzy, tak by moi bracia nie żebrali już na ulicy, a Fares odzyskał dawny uśmiech. Gdyby szkoła była obowiązkowa dla wszystkich dzieci, chłopcy tacy jak on nie musieliby sprzedawać gumę do żucia na skrzyżowaniu, gdy zapala się czerwone światło. Wspominałam także swojego dziadka: bardzo za nim tęsknię, ale myślę, że tam na górze musi być ze mnie dumny.

Taksówka wjeżdża w główną aleję, wiodącą na lotnisko. Za wojskowym posterunkiem*, skręcamy w prawo i mijamy kilka

* W ostatnich miesiącach - ze względu na rosnące zagrożenie ze strony ugrupowań terrorystycznych, mających powiązania z al Kaidą - władze zwiększyły liczbę wojskowych posterunków kontrolnych, zwłaszcza na drodze prowadzącej do lotniska.

betonowych domów. Ich płaskie dachy zdobią anteny przypominające kształtem głębokie talerze. Być może pewnego dnia my również będziemy mieć telewizor. Kierowca naciska guzik otwierający automatycznie tylne okna. Z oddali dochodzi śpiew dziewczynek. Im bardziej się zbliżamy, tym melodia staje się głośniejsza.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmia taksówkarz, zatrzymując się przed dużą bramą z kutego żelaza.

Nasza podróż trwała zaledwie pięć minut. Przez moje ciało przebiega dreszcz podekscytowania i lęku. Słyszę teraz śpiew tak wyraźnie, że rozpoznałem słowa - to stara wyliczanka, której nauczyłam się w zeszłym roku. Za bramą jest moja nowa szkoła.

- Dzień dobry, Nadzud!

Szada! Co za niespodzianka! Rzucam się w jej ramiona i mocno przytulam. Jak to dobrze, że postanowiła przyjść, by mi towarzyszyć w tym wielkim dniu. Gdyby wiedziała, jak bardzo się cieszę, widząc jej twarz!

Za bramą znajduje się duży, wysypany żwirem dziedziniec, otoczony jednopiętrowym budynkiem z szarej cegły, w którym mieści się kilkanaście klas. Wszystkie dziewczynki mają na sobie taki sam strój jak ja, biało-zielony. Nie znam tu nikogo. Szada przedstawia mnie ubranej na czarno dyrektorce. Niala Matri nosi nikab, widzę więc wyłącznie oczy.

- *Kifalek**, Nadzud?

Głos ma łagodny i zarazem pewny siebie. Zaprasza nas do swojego gabinetu. Na długim stole przykrytym czerwonym obrusem stoi bukiet sztucznych kwiatów w wazonie, a z dużego

* W jemeńskiej odmianie arabskiego „Jak się masz?”.

plakatu powieszonego na głównej ścianie przygląda się nam prezydent Jemenu, Ali Abdullah Saleh. Siedząca za biurkiem nauczycielka uderza palcami w klawiaturę komputera. Zamknąwszy za nami drzwi, Niala Matri zdejmuje nikab, który zasłaniał jej twarz. Ależ jest piękna! Ma szaroniebieskie oczy i jasną, mleczną cerę.

- Nadzud, cieszę się, że tutaj jesteś. Czuj się jak u siebie w domu.

Zaczynam się nieco rozluźniać. Dyrektorka wyjaśnia nam, że w szkole, finansowanej przede wszystkim z datków mieszkańców dzielnicy, uczy się każdego roku około tysiąca dwustu dziewcząt. Każda klasa liczy od czterdziestu do pięćdziesięciu uczennic. Nauczycielki - co podkreśla z naciskiem - opiekują się małymi dziewczynkami, które, jeśli tylko tego potrzebują, mogą przychodzić po zakończeniu lekcji i zadawać im pytania, nawet nieco bardziej osobiste.

Sluchając tych słów, powoli się uspokajam. Jeszcze niedawno nie wierzyłam, że uda mi się wrócić do szkoły. Jedna z nauczycielek początkowo się temu sprzeciwiała.

- Proszę zrozumieć, ona nie jest taka sama jak inne dziewczynki... Hmm... Miała przecież stosunki... hmm... z mężczyzną... Może więc wywierać niewłaściwy wpływ na koleżanki — mówiła szeptem do Szady, gdy oglądałyśmy sale lekcyjne.

Szada musiała rozważyć także inne propozycje, bardzo zachęcające, ale jej zdaniem trochę zbyt ekstrawaganckie: naukę za granicą, finansowaną przez jedną z międzynarodowych organizacji, prywatną szkołę w Sanie, w której eleganckie

dziewczynki malują paznokcie kolorowym lakierem... Czy jednak tam pasowałam? Czy byłam gotowa opuścić rodzinę? Czy Haifa mogłaby to zrobić? Nie, nie teraz. Jeszcze nie teraz. Wybrałam więc szkołę w sąsiedniej dzielnicy. Nie chciałam, żeby mi się dziwnie przyglądano. Pragnęłam, by traktowano mnie jak wszystkie inne dziewczynki. Tak samo jak Haifę, moją małą siostrzyczkę.

- *Hiii, Nadżud! Oh, you are so cute!**

No cóż, nic nie rozumiałam! Na środku dziedzińca pojawiła się niebieskooka, dobrze zbudowana kobieta w fioletowej chustce niezgrabnie narzuconej na krótkie włosy. Otoczona uczennicami, gestykuluje z ożywieniem. Mówi głośno, ale słowa, które wypowiada, są dla mnie pustymi dźwiękami. Czy to cudzoziemka? Ale skąd się tutaj wzięła? Szada wyjaśnia, że to dziennikarka pisma „Glamour”, znanego amerykańskiego magazynu dla kobiet. Przyjechała do Jemenu tylko po to, by się ze mną spotkać. Jeszcze raz będę musiała opowiedzieć swoją historię. I jeszcze raz moja twarz stężeje, gdy dojdziemy do osobistych pytań, na które tak trudno mi odpowiadać. A lęk, który z takim wysiłkiem staram się zwalczyć, znów opanuje moje serce...

Nagle rozlega się dzwonek. Jestem uratowana! Trzymając w ręku pałeczkę, Nadźmija, jedna z nauczycielek, daje nam znak, byśmy ustawiły się wzdłuż ściany. Bardzo szybko wykonuję jej polecenie. Ona zaś prosi, żebyśmy usiadły w ławkach stojących w dwóch rzędach w sali lekcyjnej. Zajmuję miejsce koło okna. Ani na samym przedzie, ani zupełnie z tyłu. W środku, w trzecim rzędzie, obok dwóch nowych koleżanek,

* „Cześć, Nadżud! Jesteś taka słodka”.

których imion nie zdążyłam jeszcze zapamiętać. Wpatrując się w tablicę, próbuję odczytać litery napisane przed chwilą przez nauczycielkę. „Ra-ma-dan ka-rim”. *Ramadan karim!* Szczęśliwego ramadanu! Odnajduję w pamięci wyrazy, zupełnie jakbym układała puzzle. A moje serce zaczyna znów bić normalnie.

Podczas gdy nauczycielka prosi nas o zaśpiewanie hymnu, moją uwagę odwraca nagle odgłos przewracanych kartek zeszytu. Odgłos szkoły, najprawdziwszy, znów mój własny.

Przez chwilę myślę o tym, co niedawno opowiadała dyrektorka szkoły.

- W zeszłym roku jedna z naszych uczennic, trzynastoletka, nagle przestała chodzić na lekcje. Bez podania przyczyny. Na początku sądziłam, że wróci. Mijały tygodnie, a ja nie miałam od niej żadnej wiadomości. Aż pewnego dnia przed kilkoma miesiącami dowiedziałam się, że wydano ją za mąż i urodziła dziecko. Trzynastoletnia dziewczynka!

Niala Matri powiedziała to Szadzie szeptem tak, żeby nie słyszała. Z całą pewnością miała dobre intencje. Nie wiedziała jednak, że w ciągu ostatnich tygodni zrodził się w mojej głowie konkretny plan. Tak, to już postanowione: kiedy będę duża, zostanę prawniczką, tak jak Szada. Będę bronić małych dziewczynek, takich jak ja teraz. Jeśli tylko będę mogła, zaproponuję podniesienie do osiemnastu lat wieku, w którym można wyjść za mąż. A może do dwudziestu. Albo nawet dwudziestu dwóch! Będę musiała być silna i wytrwała. Będę musiała nauczyć się bez lęku odzywać do mężczyzn, patrząc im prosto w oczy. Tak jak pewnego dnia będę musiała odważyć się powiedzieć Abie, że nie zgadzam się z nim, gdy mówi, że przecież Prorok

poślubił Aiszę, gdy miała zaledwie dziewięć lat. Tak jak Szada będę chodziła w butach na wysokich obcasach i nie będę zakrywała twarzy. Duszę się w nikabie! Zanim to się stanie, powinienam się dużo uczyć. I być dobrą uczennicą. Tylko wówczas będę mogła mieć nadzieję na studia prawnicze na uniwersytecie. Jeśli się postaram, na pewno mi się uda.

Od czasu mojej ucieczki do sądu wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nie do końca rozumiałam to, co mi się przydarzyło. Z pewnością potrzebuję dystansu. Czasu i cierpliwości. Szada kilkakrotnie proponowała, żebym poszła do lekarza. Jej zdaniem mogłoby mi to pomóc. Za każdym razem w ostatniej chwili prosiłam, by odwołała wizytę. To takie krępujące, iść do lekarza, którego się nie zna, prawda? W końcu przestała mnie namawiać. Na początku rzeczywiście czułam wstyd. Wstyd i strach przed tym, że mogę być gorsza. I ciężko mi było zapomnieć, że musiałam przejść przez to wszystko zupełnie sama. Że byłam anonimową ofiarą wydarzeń, których inni nie są w stanie pojąć. Samotna. Wykluczona. Poniżona.

Ostatnio jednak rozumiałam, że mój przypadek wcale nie jest wyjątkowy. O tym, co przytrafiło się mnie lub trzynastolatce z mojej nowej szkoły, zazwyczaj się nie mówi, ale takich historii jest o wiele więcej, niż sobie wyobrażamy. Przed kilkoma tygodniami dzięki Szadzie poznałam Arwę i Rym, dwie dziewczynki, które niedawno zażądały rozwodu tak jak ja. Podczas pierwszego spotkania uściskałam je bardzo serdecznie, jak siostry. Ich opowieści mną wstrząsnęły. Dziewięcioletnią Arwę ojciec zmusił do małżeństwa z mężczyzną starszym od niej

o dwadzieścia pięć lat. Gdy usłyszała o mnie w telewizji, postanowiła pewnego ranka schronić się w szpitalu znajdującym się najbliżej jej domu w wiosce Dżibla, na południe od Sany. Życie dwunastoletniej Rym całkowicie się zmieniło po rozwodzie rodziców. Z zemsty ojciec wydał ją za mąż za kuzyna mającego trzydzieści jeden lat. Po kilku próbach samobójczych zdobyła się na odwagę i zwróciła o pomoc do sądu.

Byłam dumna, gdy się dowiedziałam, że moje zwycięstwo dało im siłę, by się bronić. Ich cierpienie mnie poruszyło. Czuję się w jakimś stopniu odpowiedzialna za to, że zdecydowały się zbuntować przeciwko mężom. To dzięki mnie dotarły do sądu. Bardzo mi ich żal. Przeżycia, o których opowiadały, wydały mi się tak podobne do moich własnych. Powiedziałam sobie: *Cbalas!* To już za mną! Małżeństwo unieszczęśliwia dziewczęta. Nigdy nie wyjdę ponownie za mąż. Nigdy! *Maszizl Maszizl*

Często myślę o Monie. Dla niej również los nie jest zbyt łaskawy. Przed tygodniem moja najstarsza siostra Dżamila została w końcu uwolniona!

Gdy przyszła do domu, mocno ją uściskałam. Co za cudowna niespodzianka!

W więzieniu dzieliła celę z kryminalistkami. Wśród nich były także kobiety posądzone o zabójstwo męża! W domu staraliśmy się jednak o tym nie rozmawiać. Nie chcieliśmy psuć sobie radości z powrotu Dżamili i Faresa. Pierwszy raz od tak dawna byliśmy znów wszyscy razem. Wkrótce zaczęły się kłótnie, zwłaszcza między moimi starszymi siostrami. Aby uratować

Dżamilc, Mona zgodziła się w końcu podpisać podsuwany jej dokument. Ale nie potrafiła wybaczyć siostrze. Oskarżała ją o rozbicie rodziny. Już nigdy nie będzie między nimi tak jak dawniej. A wszystko to z winy męża Mony. Czasami myślę, że koniecznie muszę porozmawiać z Faresem i zmusić go do złożenia obietnicy, że gdy kiedyś się ożeni, będzie najwspanialszym z mężów.

Na niebie widzę lecący samolot, który pozostawia za sobą długą, białą smugę. Obserwuję, jak staje się ona coraz grubsza. Maszyna z pewnością niedługo wyląduje na pobliskim lotnisku. Przylatuje z Francji? A może z Bahrajnu? A przy okazji: który z tych dwóch krajów znajduje się bliżej nas? Muszę zapytać o to Szadę. Pewnego dnia ja również wzniosę się wysoko i polecę na drugi koniec świata. Myślę, że w jednym samolocie mieści się co najmniej trzysta osób. Sąsiad, który wrócił z Arabii Saudyjskiej, opowiadał, że wewnątrz przypomina duży salon. Można tam czytać gazety, zamawiając równocześnie posiłki, które podają na tacy. W samolocie wszyscy jedzą, posługując się sztućcami. Zupełnie jak w pizzerii!

Wysoki głos nauczycielki przerywa w końcu moje rozmyślenia.

- Kto chciałby wyrecytować pierwszą surę Koranu? - pyta, zwracając się do całej klasy.

W przypiływie odwagi - co nie zdarzyło mi się od dawna — szybko podnoszę rękę bardzo wysoko, by wszyscy mogli zobaczyć. Todziwne, ale zrobiłam to bez zastanowienia. Niedociekalam, co pomyśli Aba ani co ludzie będą mówili za moimi plecami. Ja, dziesięcioletnia Nadżud, chciałam odpowiedzieć

na pytanie. Podjęłam tę decyzję sama, nie czekając na zgodę innych.

- Nadzud? - Nauczycielka patrzy teraz w moim kierunku.

Zauważyła mój entuzjazm. Biorę głęboki oddech, odsuwam lekko krzesło i już stoję wyprostowana. Szukam w pamięci wersów Koranu, których nauczyłam się rok wcześniej:

W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!

Chwała Bogu, Panu światów,

Miłosiernemu, Litościwemu,

Królowi Dnia Sądu.

Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.

Prowadź nas drogą prostą,

*Drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami, nie zaś tych,
na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błędzą*.*

W klasie zapada cisza.

- Brawo, Nadzud! Niech Bóg ma cię w opiece! - chwali mnie nauczycielka, zachęcając inne uczennice do recytacji.

Jej wzrok wędruje teraz na drugi koniec sali w poszukiwaniu nowej kandydatki.

Z uśmiechem na twarzy siadam w ławce. Rozglądając się na wszystkie strony, nie mogę się powstrzymać i głośno wzdycham. Ubrana w biało-zielony strój jestem jedną z pięćdziesięciu uczennic obecnych w sali lekcyjnej. Chodzę do drugiej klasy szkoły podstawowej. Właśnie zaczął się dla mnie

* Cytat za: *Koran*, przekład i opracowanie J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

— podobnie jak dla tysięcy innych jemeńskich dzieci - nowy rok szkolny. Po powrocie do domu będę odrabiać lekcje i kolorować obrazki.

Dziś wreszcie czuję, że znów stałam się małą dziewczynką. Zupełnie normalną małą dziewczynką. Taką jak przedtem. Po prostu.

Epilog

Ubrana w ładną fioletową sukienkę Nadżud uśmiecha się do wszystkich, trzymając mocno Szadę za rękę. Jej ruchy są nieśmiałe. Ale spojrzenie - bardzo rezolutne.

-Jeszczejedno zdjęcie! - krzyczą paparazzi.

Jest 10 listopada 2008 roku. Najmłodsza rozwódka świata odebrała właśnie w Nowym Jorku nagrodę Kobiety Roku, przyznawaną przez amerykańską edycję kobiecego magazynu „Glamour”. Mając dziesięć lat, dzieli ten nieoczekiwany sukces z aktorką Nicole Kidman, sekretarz stanu Condoleezą Rice i senator Hillary Clinton! To niezwykle przeżycie dla małej Jemenki, która nagle z anonimowej ofiary zmieniła się w bohaterkę swoich czasów i która pragnie dziś wrócić do normalnego życia. I trzeba przyznać, że w pełni na to zasługuje.

Nadżud wygrała. Jest z tego dumna. Tym, co mnie najbardziej uderzyło podczas naszego pierwszego spotkania w czerwcu 2008 roku, dwa miesiące po jej rozwodzie, była pewność siebie*.

* Delphine Minoui, *Nadżud, 10 ans, divorcée au Yémen*, „Le Figaro”, 24 czerwca 2008 roku.

Zupełnie jakby niezwykła walka, którą podjęła, dodała jej nagle lat, pozbawiając równocześnie dziecięcej niewinności.

Z jaką dojrzałością opisywała mi szczegółowo przez telefon, jak trafić do jej skromnego domu, zagubionego w labiryncie pełnych pyłu uliczek Dares, przedmieścia Sany, stolicy Jemenu.

Wraz z młodszą siostrą Haifą czekała na mnie przy zatłoczonej stacji benzynowej. Jej twarz skrywała się za czarną zasłoną. „Będę stała niedaleko sklepu ze słodyczami” — uprzedziła mnie, zdradzając wspólne wszystkim dzieciom upodobanie do łakoci. Zauważyłam oczy w kształcie migdałów, pucołowatą buzię i łagodny uśmiech. Z pozoru dziewczynka jak inne, przepadająca za cukierkami, marząca o dużym telewizorze i bawiąca się z rodzeństwem w ciuciubabkę. A w głębi serca prawdziwa mała dama, nad wyraz dojrzała. Dziś uśmiecha się, słysząc słowo „*Mabruk!*” (Gratulacje!), wypowiedane przez mijającą ją w Sanie kobiety, które ją rozpoznały.

„Rozwód Nadżud wyważył zamknięte drzwi” - powiedziała mi niedawno Husnia al-Kadri, kierująca na uniwersytecie w Sanie ośrodkiem badawczym zajmującym się sprawami kobiet. Prowadzone przez nią ostatnio badania ujawniły, że ponad połowajemeńskich dziewcząt wychodzi za mąż przed ukończeniem osiemnastego roku życia*.

Tak, to prawda, historia Nadżud stanowi przesłanie nadziei. W kraju, w którym wydawanie za mąż małych dziewczynek

* *Early Marriage in Yemen. A Base Line Story to Combat Early Marriage in Hadramout and Hadeyda Governates*, Uniwersytet w Sanie, 2006. Zdaniem autorki zawierane przedwcześnie małżeństwa są główną przyczyną nieobecności dziewcząt w systemie edukacji. W Jemenu 70% kobiet to analfabtki.

jest częścią tradycji, uznawanych do niedawna za wieczne, ten niezwykle akt odwagi dodał śmiałości innym bardzo młodym mężatkom, które zbuntowały się przeciwko swoim domowym tyranom. Po ucieczce Nadżud do sądu kolejne dziewczynki, dziewięcioletnia Arwa i dwunastoletnia Rym, podjęły walkę mającą na celu zerwanie więzów małżeńskich. Lokalny dziennik w Arabii Saudyjskiej opisywał niedawno przypadek złożenia pozwu o rozwód przez ośmiolatkę, którą ojciec wydał wbrew jej woli za mąż za pięćdziesięcioletniego mężczyznę. Według autora artykułu sąd zamierzał zająć się tą sprawą. To zupełna nowość w tym sąsiadującym z Jemenem kraju, bardzo przywiązanym do tradycji i zwyczajów!

Zwycięstwo Nadżud pozwoliło również jemeńskim organizacjom broniącym praw kobiet zwiększyć naciski na parlament zmierzające do podwyższenia dolnej granicy wieku, w którym osiąga się zdolność prawną do zawarcia małżeństwa.

Nadżud być może nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, ale udało się jej złamać tabu. Wiadomość o jej rozwodzie, która obiegła całą kulę ziemską, powtarzana we wszystkich mediach, umożliwiła położenie kresu milczeniu otaczającemu tę praktykę, niestety, niezmiernie częstą w takich krajach jak Afganistan, Egipt, Indie, Mali czy Pakistan...

Historia Nadżud porusza nas tak silnie również dlatego, że każe nam myśleć o naszej przeszłości. W Europie Zachodniej do dobrego tonu należy litowanie się nad losem muzułmańskich kobiet. A przecież przedwczesne wydawanie dziewcząt za mąż i przemoc małżeńska nie powinny kojarzyć się

wyłącznie z islamem. We Francji, w Hiszpanii lub we Włoszech, gdzie nasze prababki także brały ślub bardzo młodo, ciągle jeszcze wiele kobiet jest maltretowanych przez mężów. Przypomnijmy ponadto, że w Stanach Zjednoczonych Warren Jeffs, przywódca teksańskich mormonów, miał w zwyczaju aranżować małżeństwa czternastoletnich dziewcząt. Działo się to do 2008 roku, kiedy grupa została rozwiązana.

W Jemenie ojcowie wydają za mąż córki, które nie osiągnęły jeszcze wieku dojrzewania, nie tylko z powodów religijnych. „Ważną rolę odgrywają również takie czynniki jak bieda, brak wykształcenia i lokalne tradycje” - przypomina Husnia al-Kadri. Honor rodziny, strach przed porwaniem, porachunki między rywalizującymi plemionami... Powody podawane przez rodziców są niezwykle liczne i zróżnicowane. Na wsi, jak dodaje badaczka, często powtarza się plemienne powiedzenie: „Małżeństwo z dziewięciolatką jest gwarancją udanego związku”.

Problemem jest także to, że dla wielu Jemeńczyków przedczesne małżeństwa są elementem tradycji, normalności. „Niedawno trzy dni po ślubie zmarła dziewięcioletnia Jemenka wydana za mężczyznę z Arabii Saudyjskiej. Jej rodzice, zamiast zainteresować sprawą opinię publiczną, pospieszyli z przeprosinami do męża, zupełnie jakby sprzedali mu towar złej jakości, i zaferowali mu jej młodszą, siedmioletnią siostrę” - opowiedziała mi niedawno Nadia al-Sakkaf, redaktor naczelna „Yemen Timesa”. Ucieczka Nadżud, zasługująca w naszych oczach na najwyższe uznanie, przez największych islamskich

tradycjonalistów jest uważana za akt skandaliczny, zasługujący na karę. Ekstremiści zaś uznają ją za zbrodnię na honorze.

Pomijając pełną wrażeń podróż do Nowego Jorku, codzienne życie naszej małej jemeńskiej bohaterki dalekie jest, niestety, od baśniowych wyobrażeń.

Zgodnie z własnym życzeniem Nadzud wróciła do rodziców. Kiedy piszę te słowa, jej przyszłość jest bardzo niepewna. W domu starsi bracia niechętnie patrzą na międzynarodowe zainteresowanie, które wzbudza jej rozwód. Sąsiedzi skarżą się na częstą obecność zagranicznych ekip telewizyjnych. Nie wszystkie osoby, które interesują się jej historią, mają czyste intencje. A jakby tego było mało, eksmąż został zwolniony z więzienia. Rodzina Nadzud zerwała z nim wszelkie kontakty i nikt nie wie, gdzie teraz przebywa.

Szada także nie jest bezpieczna. Przeciwnicy oskarżają ją o rozpowszechnianie negatywnego obrazu Jemenu. W tym samym czasie instytucje pozarządowe starają się uwrażliwić ludność wiejską na problemy związane z przedwczesnymi małżeństwami. Aby nie zaognić sytuacji i skuteczniej uświadamiać zagrożenia, członkowie Oxfam, organizacji humanitarnej najbardziej zaangażowanej w tę sprawę, muszą ważyć słowa podczas działań podejmowanych na południu kraju. Zamiast mówić o „ustawowym wieku małżeńskim”, używają określenia „wiek bezpieczny”, kładąc akcent na zagrożenia związane z przedwczesnym małżeństwem: urazy psychiczne, wyższą śmiertelność okołoporodową, porzucanie szkoły. Zadanie jest jednak trudne. „Na wielu naszych kolegów pracujących w terenie


miejscowi szejkwowie rzucają klątwy, oskarżając ich o nieprze-
strzeganie zasad islamu i propagowanie zachodniego rozluź-
nienia obyczajów" - opowiada Suha Baszren, jedna z działa-
czek kierujących tym programem. Droga ku lepszej przyszłości
wydaje się wciąż długa i kręta...

Dzielnica, w której mieszka Nadżud, nie lśni światłami jak
Nowy Jork. Jej mieszkańcy zimą marzną z braku ogrzewa-
nia. Nie dla nich długie wieczorowe suknie z wystaw luksuso-
wych sklepów. Rano trzeba iść po chleb dla całej rodziny. Ojciec
Nadżud jest nadal bezrobotny. I gdy brakuje pieniędzy na jedze-
nie lub czynsz, młodsze rodzeństwo żebrze na ulicy.

Ale mimo wielu przeszkód mała rozwódka znów cho-
dzi do szkoły. Prawa autorskie do niniejszej książki umożli-
wią jej studia prawnicze, o których marzy, a być może również
pozwolą zbudować bezpieczny dom. Gdy przyjeżdżam do Sany,
Nadżud zawsze prosi mnie o kredki. Przykucnąwszy na podło-
dze w skromnym rodzinnym domu, rysuje zawsze taki sam róż-
nokolorowy budynek z wieloma oknami. Kiedyś zapytałam ją,
czy to jest miejsce, w którym będzie mieszkać, szkoła czy inter-
nat. „To dom szczęścia, dom szczęśliwych małych dziewczynek”
- odpowiedziała z uśmiechem.

Delphine Minoui
styczeń 2009 roku

Podziękowania

 całego serca dziękujemy wszystkim, którzy otworzyli nam drzwi do swoich domów i umożliwili napisanie historii Nadżd, by służyła za przykład i dodawała odwagi innym małym dziewczynom walczącym o swoje prawa.

Szczególne podziękowania należą się adwokatce broniącej Nadżd, Szadzie Nasser, a także sędziom z sądu w Sanie, Mohammadowi el-Ghaziemu, Abdo i Abdelowi Wahedowi.

Dziękujemy całej redakcji „Yemen Timesa”, a zwłaszcza kierującej nią Nadii Abdulaziz al-Sakkaf i pracującemu tam wówczas dziennikarzowi, Hamedowi Sabetowi, który później pełnił funkcję doradcy politycznego w ambasadzie Niemiec w Sanie.

Jesteśmy też niezmiernie wdzięczne Husni al-Kadri, szefowej ośrodka badawczego na uniwersytecie w Sanie, zajmującego się sprawami kobiet. Pomogła nam lepiej zrozumieć problemy związane z przedwczesnymi małżeństwami.

Wielką pomocą były też liczne rozmowy z ekipą Oxfamu, a zwłaszcza z Wamiz Szaker i Suhą Baszren.

Dziękujemy Niali Matri, dyrektorce szkoły w dzielnicy Rawza, za umożliwienie Nadżd powrotu do szkoły.

Wyrażamy również ogromną wdzięczność Eman Maszur, bez której ta książka nigdy by nie powstała. Jej zaangażowanie w sprawę jemeńskich kobiet, cierpliwość i talent translatorski były dla nas olbrzymią pomocą.

Borzou Daragahi należą się najszczerze podziękowania za wsparcie moralne i entuzjastyczne zainteresowanie naszym projektem.

Dziękujemy wreszcie Hyam Yard, Martine Minoui i Chloe Radiguet, które zgodziły się zostać pierwszymi czytelniczkami tej książki.

Ta zaś jest dedykowana Arwie, Rym i wszystkim innym małym Jemenkom, które marzą o wolności.

Delphine Minoui i Nadzud Ali